PO DRUGIEJ STRONIE

Maksim Wolff

Maksim Wolff

Po Drugiej Stronie

© Maksim Wolff, 2024

Rok 1960. Zimna wojna osiąga swój szczyt, gdy Związek Radziecki wysyła pierwszego człowieka na orbitę. To, co miało być triumfalnym lotem ku gwiazdom, szybko przeradza się w walkę o przetrwanie. Odcięty od Ziemi kosmonauta staje w obliczu niewyjaśnionych zjawisk i własnych demonów. „Po drugiej stronie" to opowieść o granicach ludzkiej wytrzymałości, odkrywaniu tajemnic wszechświata oraz o tym, co czeka na nas w ciemnościach kosmosu, gdy wszystko inne zawiedzie.

ISBN 978-83-8384-621-7
Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Po Drugiej Stronie
I
II
III
IV
V

Pod koniec listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, dwaj włoscy bracia, Achilles i Gian Judica-Cordiglia, amatorzy zajmujący się krótkofalarstwem, zarejestrowali sygnał SOS pochodzący z kosmosu.

„– Oceniliśmy, że to desperacki apel o pomoc — wspominał Gian — być może skierowany do Amerykanów. Po chwili sygnał ustał. Pamiętam, że 2 grudnia radzieckie władze ogłosiły, że wystrzelono Sputnika VI, ale kontakt z nim zaraz się urwał".

I

Wytrzymać, tylko wytrzymać — powtarzałam sobie w duchu, czując jak rakieta za moimi plecami, pcha mnie z ogromną siłą ku niebu. Kapsuła drżała niemiłosiernie, przez co nie potrafiłam skupić wzroku na sztucznym horyzoncie, jedynym przyrządzie, który mógł mi powiedzieć, choć w przybliżeniu, czy lot przebiega prawidłowo.

— Zaria jeden, Zaria jeden. Czy mnie słyszycie? — z wielkim trudem udało mi się wypowiedzieć tych kilka słów. Przeciążenie było zbyt silne, uniemożliwiało mi swobodne oddychanie. Czułam, że długo nie uda mi się wytrzymać i zaraz stracę przytomność.

W czasie wojny, gdy byłam pilotką bombowca, często zdarzało mi się narażać na duże przeciążenia. Raz musiałam nurkować, próbując ugasić płonący silnik, spadałam z wysokości pięciu kilometrów i poderwałam maszynę tuż nad ziemią. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma i pomyślałam wówczas, że zaraz zginę, utracę świadomość i spadnę jak kamień.

W radiu usłyszałam przerywany trzask, a potem znajomy głos:

— Słyszymy cię doskonale, parametry lotu w normie, za chwilę ...

— Nie zrozumiałam! — odparłam szybko — powtórzcie!

Zerknęłam na zegarek i szybko obliczyłam czas lotu. Sto pięćdziesiąta sekunda, sto pięćdziesiąta piąta, sto sześćdziesiąta sekunda. Zamknęłam oczy i jak mantrę zaczęłam powtarzać w duchu — Wytrzymać, wytrzymać jeszcze trochę, jeszcze kilka minut. Ale czas dłużył się nieznośnie, a silniki głównej rakiety, wprawiając w drżenie całą konstrukcję, nie przestawały pchać mnie ku niebu.

Nagle poczułam dodatkowy wstrząs, wywołany odstrzeleniem osłony kapsuły, i zobaczyłam w iluminatorze granatowe niebo, a potem kolejny wstrząs, tym razem silniejszy, szarpnęło mną do przodu, a potem na powrót wcisnęło w fotel.

— Wszystko jest w porządku — szepcząc do siebie, starałam się uspokoić — to pierwszy człon rakiety skończył swoją pracę. Tak ma być, tak zaplanowano. Wszystko jest w porządku.

Znowu zerknęłam na zegarek. Z niezadowoleniem stwierdziłam,

że minęła dopiero trzecia minuta. Za wolno mijał czas, jakby mi na złość nie chciał przyśpieszyć i dać mi wytchnąć, gdy trzeci człon rakiety wyniesie mnie na orbitę i lot się ustabilizuje.

Radio ponownie zatrzeszczało.

— Łabędź, czy mnie słyszysz?

To ja nadałam sobie ten kryptonim, przypominał mi okolice mojej wioski i jezioro, na które co roku przylatywały te piękne ptaki.

— Zaria jeden, słyszę was dobrze!

— Nie widzimy waszych parametrów życia. Czy połączenie jest w porządku?

Zerknęłam na gruby wąż wychodzący z boku kombinezonu.

— Nie widzę żadnych usterek — meldowałam — wszystko wygląda w porządku.

Radio nie odpowiedziało, a ja zaczęłam się zastanawiać, gdzie leży przyczyna awarii.

— Może to antena, która nie wyprostowała się po odstrzeleniu osłony? — myślałam gorączkowo. — Albo coś stało się z kablem łączącym mnie z modułem serwisowym?

Jeśli zostały uszkodzone zbiorniki z tlenem w module serwisowym, to...

Spojrzałam na mały pulpit z kilkoma wskaźnikami i lampkami kontrolnymi. Z trudem odczytywałam kolejne wskazania: Ciśnienie jeden, wilgotność sześćdziesiąt pięć; temperatura dwadzieścia, pierwszy automatyczny sto pięćdziesiąt, drugi automatyczny sto pięćdziesiąt, ciśnienie w układzie retro-rakiet trzysta dwadzieścia. Nie byłam pewna wszystkich odczytów, ale postanowiłam zameldować:

— Zaria jeden, Zaria jeden. Wszystkie wskazania w normie.

— Przyjęliśmy, Łabędź.

Coś jednak nie było w porządku i kolejny raz spojrzałam na zegar. Mijała piąta minuta, a drugi człon wciąż pracował. Poczułam lęk. A co będzie, gdy rakieta wyniesie mnie za daleko? Czy w centrum mają plan na taką ewentualność?

— Zaria jeden, Zaria jeden. Podajcie parametry lotu —

poprosiłam, czując, jak strach podchodzi mi do gardła.

— Zaria jeden, Zaria jeden. Czy mnie słyszycie? Podajcie parametry lotu!

— Nie mam instrukcji od numeru dwadzieścia. Lot przebiega normalnie.

Cholerny numer dwadzieścia — przeklęłam w myśli głównego konstruktora, który ukrywał się za tą cyfrą — nie ma instrukcji. Czemu nie chcą mi powiedzieć?

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie jest dobrze. Ukrywają przede mną, coś nie zadziałało tak, jak powinno, i nie wiedzą, czy mogą mi to powiedzieć!

Zerknęłam na mały panel po lewej stronie kokpitu. Wystarczyło wcisnąć trzy z sześciu klawiszy, abym mogła przejąć kontrolę nad statkiem. Znałam te cyfry, które były w zalakowanej kopercie. Zdradził mi go sam dowódca szkoleniowy. Mogłam odblokować fotel, detonować właz tuż nad moją głową i się katapultować.

Pewnie bym się uratowała, ale oznaczało to porażkę. Cały wysiłek naszych ludzi poszedłby na marne, a mnie okrzyknięto by tchórzem. Może nawet zdrajczynią, która z rozmysłem zniszczyła dzieło narodu radzieckiego.

Zdecydowanie odrzuciłam myśl o złamaniu regulaminu, który zabraniał mi jakąkolwiek czynność, poza monitorowaniem przyrządów i meldowaniem o swoim stanie zdrowia.

Nabrałam głębiej powietrza i zameldowałam:

— Zaria jeden, Zaria jeden. U mnie wszystko w porządku, czuję się dobrze, przyrządy działają prawidłowo, lot przebiega według planu.

— Łabędź, tu Zaria jeden. Zrozumieliśmy cię wyraźnie. Kontynuuj lot.

Co to miało znaczyć? Co mieli na myśli, mówiąc, abym kontynuowała lot? Przecież nie miałam nad nim żadnej kontroli, wszystkie czynności startu i lotu zostały wcześniej wyliczone i ustawione w automatach.

Kilka miesięcy wcześniej, wraz z trzema innymi dziewczynami wybranymi do pierwszego lotu człowieka w kosmos, obserwowałam

start rakiety Wostok. Wówczas na pokładzie był manekin ubrany w kombinezon. Start przebiegł prawidłowo, widać było moment, gdy pierwszy człon rakiety kończy pracę i zaczyna start człon drugi. Wyglądało to, co najmniej strasznie, jakby rakietę rozerwało, ale manekin „przeżył" start i cały lot, a nawet lądowanie, choć wpadł do niewielkiego stawu i trzeba było go wyławiać. Widać było start trzeciego członu i pojazd znikł z naszych oczu. Nie wiedząc czemu, liczyłam sekundy całego lotu i zapamiętałem, każdy etap i czas, w jakim następował.

Znowu zerknęłam na zegar. Wskazówka minutnika zbliżała się do szóstej minuty lotu, a drugi człon wciąż pracował. Zrozumiałam, że mam kłopoty.

— Zaria jeden, Zaria jeden. Drugi człon rakiety nadal pracuje. Czy mnie zrozumieliście? — starałam się być opanowana, ale mój głos drżał, tak samo, jak ja cała.

Radio zatrzeszczało, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Statkiem nagle szarpnęło do przodu, usłyszałam za plecami niepokojący łomot, jakby łamały się stalowe blach, a potem nastała cisza i przeciążenie ustało nagle. Nie zdążyłam się uspokoić, gdy odpalił silnik trzeciego członu, a mnie ponownie wgniotło w fotel.

— Jest dobrze, jest dobrze — mówiłam cicho, tak by mnie nie usłyszano w centrum. Nie chciałam, aby wiedzieli o moim strachu. Nie mogłam sobie na to pozwolić, nie w chwili, gdy być może słyszał mnie cały naród radziecki.

Pojazdem przestało trząść, kapsuła ustabilizowała się i wreszcie mogłam dokładniej przyjrzeć się widokowi za iluminatorem. Czerń i pustka — to były moje pierwsze myśli, a potem obawa i lęk, że tam, gdzie lecę nie ma nic. Ogarnął mnie niepokój, który zaczął narastać z każdą kolejną minutą. Nie potrafiłam go rozpoznać, był mi obcy, inny niż lęk, jaki dotychczas doświadczałam, odmienny od strachu o własne życie, w niczym niepodobny do strasznych wspomnień z czasów wojny. Wyszkolonym nawykiem stale kontrolowałam wskazania przyrządów i z niepokojem obserwowałam nachylenie pojazdu względem ziemi. Wciąż się wznosiłam, wciąż nabierałam

prędkości, więc oddalałam się od ziemi i gdy to zrozumiałam, z całą świadomością konsekwencji, nieznany mi dotąd lęk odezwał się ze znaczną siłą. To była samotność, pojęłam, że bałam się jej, i to uczucie zaczęło mnie przytłaczać, dusić, ciążyć na piersi i zaciskać na sercu.

— Zaria jeden, Zaria jeden. Czy mnie słyszycie?

Radio milczało przez długie sekundy.

— Zaria jeden, Zaria jeden. Statek pracuje normalnie. W wizjerze widzę kosmos, jest czarny, nie widać gwiazd. Lot przebiega normalnie — zameldowałam z nadzieją, że ktoś mnie usłyszał, ktoś na ziemi, ktokolwiek.

Minęła dziesiąta minuta lotu, trzeci człon wciąż pracował, a ja nie wiedziałam, czy już powinien przestać. Nie znałam swojej prędkości ani wysokości, sztuczny horyzont nie zmieniał swego położenia, wskazówki poszczególnych liczników drżały niespokojnie, lampki kontrolne świeciły, niezmiennie pokazując, że wszystko jest w należytym porządku.

Tuż przed startem, wraz z Głównym Konstruktorem, przetestowaliśmy i omówiliśmy dla przypomnienia, wszystkie urządzenia w kapsule. Mówił powoli i spokojnie, ale ja wiedziałam, że jest kłębkiem nerwów i z wielkim wysiłkiem starał się ukryć przede mną emocje, jakie nim targały. To był pierwszy lot człowieka w kosmos, rakietą jego konstrukcji, i choć przeprowadzono dziesiątki próbnych startów, nie miał żadnej gwarancji, czy ten zakończy się sukcesem. Bał się, słyszałam to w jego urywanym oddechu między zdaniami, unikał mojego spojrzenia, jakby przeczuwał, że za kilka minut wyda rozkaz, który mnie zabije, zaczerwienił się na twarzy, gdy omawialiśmy czynności związane z katapultowaniem fotela, jedyną ucieczką przed śmiercią w kuli ognia. Paradoksalnie, jego lęk uspokoił mnie, nawet współczułam mu przez chwilę i byłam mu wdzięczna, bo zrozumiałam, że mu zależy i zrobił wszystko, co było w jego mocy, abym wróciła na ziemie bezpiecznie.

Nagle rakietą szarpnęło wstecznie, usłyszałam zza pleców zgrzyt naprężonego metalu, potem odpaliły niewielkie ładunki łączące

trzeci trzon z modułem serwisowym i poczułam się wolna. Byłam już bezpieczna i odetchnęłam z ulgą, pozwoliłam sobie przymknąć powieki na chwile, jakbym chciała odciąć się od miejsca, w którym mnie zamknięto i zanurzyć się cała w radosnym uczuciu, które wypełniło mnie całą. Najniebezpieczniejszy etap lotu był już historią, a ja i moje nazwisko stało się jej częścią. Osiągnęłam cel, jaki wyznaczyła mi Partia i Naród, zdobyłam kosmos w imieniu ludzi pracujących całej ziemi i poczułam wdzięczność losowi, że to właśnie ja, zostałam wybrana do pierwszego lotu człowieka w kosmos.

Statek obracał się wolno na lewą stronę i z rosnącą ciekawością spojrzałam w iluminator. Czerń ukazała mi gwiazdy z zadziwiającą ostrością, a potem światło słońca oświetliło okablowanie wewnątrz kapsuły, potem moje nogi, panel radia i znikło nagle, a po chwili zobaczyłam ziemie.

— O matko! — krzyknęłam, nie panując nad sobą. — Jaka piękna jest nasza planeta!!

Radio milczało, ale ja nadal mówiłam, podekscytowana widokiem, jaki przesuwał się za iluminatorem.

— Widzę chmury, a między nimi zieloną ziemię, błękitne plamy jezior i wstęgi rzek. To takie piękne! Obracam się i widzę horyzont, leży na nim cienka, błękitna warstwa atmosfery! To piękne! Obraz ucieka mi i teraz widzę czarny kosmos... i gwiazdy! Są takie wyraźne, świecą na czarnym tle niczym małe diamenciki! Powinniście to zobaczyć! Każdy człowiek powinien zobaczyć!

Przerwałam relacjonować, by dokładniej skupić się na tym, co widzą moje oczy i wtem zobaczyłam, jak tuż za iluminatorem przemyka mały iskrzący się punkcik.

Co to!? — zdążyłam pomyśleć, i to coś zniknęło mi z oczu. — Czy nie jestem tu sama? Czy w kosmosie jest coś, czego naukowcy nie odkryli, nie dostrzegli?

Serce zabiło mi mocniej, ale nie ze strachu, nie bałam się, tylko z emocji, a nawet poczułam radość, że jako pierwszy człowiek, mogłam być świadkiem czegoś, o czym nikt na ziemi nie wiedział.

Głośnik w radiu wydobył z siebie trzask, a potem usłyszałam

ludzki głos, niewyraźny, przerywany, ale był to człowiek i zrobiło mi się tak bardzo radośnie na sercu, jak nigdy wcześniej.

— Tu Łabędź! Tu Łabędź! Czy mnie słyszycie! — odezwałam się, pełnym wzruszenia głosem, ale zamiast odpowiedzi, doleciał do mych uszu tylko przerywany trzask z głośnika.

— Zmieniam odbiornik na antenę numer dwa — zakomunikowałam i spróbowałam dosięgnąć dłonią pokrętła na panelu radia, lecz ramie wyskoczyło mi w górę, jakby pchnięte jakąś dodatkową siła.

— Aj! — krzyknęłam, uderzając palcami w metalową szynę i szybko przyciągnęłam dłoń do siebie. To nie było zbyt bolesne, ale zaskoczyła mnie ta sytuacja. Spojrzałam na swoje ramiona, obróciłam dłonie i spróbowałam powoli unieść jedną z nich. Wydawało mi się, że mięsień przedramienia tylko drgnął, a dłoń uniosła się, jakby nic nie ważyła i w końcu dotarło do mnie, że to jest właśnie nieważkość, brak grawitacji, zjawisko, o którym mówili na szkoleniach. Poruszyłam się w fotelu i mimo mocnego przypięcia pasami, odczułam brak własnej wagi. Byłam niczym piórko i zdałam sobie sprawę, że nie tylko ja, ale cały mój statek przestał ważyć i jest jak puch zawieszony w ciemnym pokoju.

— Łabędź! Tu Zaria dwa! — krzyknął ktoś z głośnika — Czy mnie słyszycie?!

— Tu Łabędź. Słyszę was doskonale! — odpowiedziałam i zaraz chciałam dodać, jak szczęśliwa jestem, że usłyszałam ludzki głos, ale się powstrzymałam. To nie byłoby godne Radzieckiego żołnierza.

— Łabędź. Cieszymy się, że wszystko poszło doskonale. Naród Radziecki i cały komitet partii przesyła wam podziękowania i pozdrowienia. Jesteście bohaterem, a pierwszy sekretarz wydał już polecenie waszego awansu do stopnia majora.

Głośnik wydał z siebie krótki trzask, co oznaczało koniec nadawania.

— Pozdrawiam członków partii i cały naród Radziecki i wszystkich ludzi na ziemi — odpowiedziałam, czując, jak emocje dławią mi głos. Byłam bardzo wzruszona słowami, jakie usłyszałam, byłam

wdzięczna wszystkim pracownikom, którzy przyczynili się do tego sukcesu. Wiedziałam też, że lot się udał, że wszystko jest w doskonałym porządku, że nic mi nie grozi, że... — zastanowiłam się, czy wyrazić tę myśl, czy nie jest przedwczesna — ... że przeżyje.

Z głośnika popłynęła muzyka. Rozpoznałam ją, to były „Fale Amuru". Melodia wzruszyła mnie, że zaczęłam nucić ją cichutko. Statek mój obracał się i raz to widziałam czerń kosmosu, raz błękitną ziemię, a gdy melodia ucichła, nagle znowu pokazał się mały świecący punkcik.

Przyjrzałam się mu dokładniej i mogłabym przysiąść, że widzę drobny diamencik.

— Czym jesteś? — spytałam, przybliżając wzrok do iluminatora. — Czy rozumiesz moje słowa? Jesteś żywą Istotą?

Obiekt, tak jak poprzednio skrył się za górną krawędzią okna, nie dając mi żadnego znaku.

Poza szumem wentylatorów nie było żadnego dźwięku, bezczynność wydała mi się nienaturalna, wszystko, co miałam do zrobienia, to przeżyć i zrelacjonować cały lot. Nie lubiłam bezczynności. W czasie wojny byłam pilotką bombowca. Wraz z Maszą, moją nawigatorką, latałyśmy w nocnych rozkazach nad pozycje nieprzyjaciela, zasypując ich ładunkiem bomb. Wtedy każda moja decyzja, każdy ruch wolantem, ostrość wzroku, precyzja nawigacji decydowała o tym, czy dotrzemy do celu i odnajdziemy drogę do domu. Teraz nic nie zależało ode mnie, byłam jak te bomby, tylko ładunkiem, który w pewnym momencie zostanie wyrzucony, aby spaść na ziemie. To mnie przerażało i przez cały okres szkolenia na kosmonautkę, ukrywałam to, przed innymi i przed sobą, aż uczucie strachu zniknęło, lecz nie na zawsze. Czułam go z tyłu głowy, jak z szeroko otwartymi oczami spogląda z ciemności na to, co dzieje się wokół mnie. Ta część mojej myśli była śmiertelnie przerażona, a ja bałam się, że wyjdzie ze mnie i opanuje mnie całą.

Po parunastu minutach muzyka ucichła, zrobiło się ciemno, i już nie widziałam ziemi, tylko pustkę kosmosu. Towarzyszący mi

diamencik też przestał zaglądać mi do kapsuły. Weszłam w nocną cześć ziemi, za parę minut powinnam przelecieć nad głowami amerykanów, a potem nad wielkim oceanem, nad Afryką i południową Europą. Sprawdziłam przyrządy, wszystko było w należytym porządku, a jednak nie potrafiłam się w pełni uspokoić. Nie winiłam się za szybsze bicie serca i lekkie drżenie dłoni, uważałam, że to było naturalne i nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek na moim miejscu byłby całkowicie spokojny.

****

Obserwowałam gwiazdy, przyglądałam się ciemnej stronie ziemi, gdzie zapewne tysiące ludzi wznosiło głowy, chcąc dostrzec mój statek, zobaczyć na własne oczy cud, który dokonał człowiek. Radziecki człowiek. Przepełniała mnie duma i wielka radość, że potrafiliśmy tego dokonać, właśnie my, obywatele Radzieccy, i nikt inny przed nami. Historia już na zawsze będzie pamiętać ten dzień i moje nazwisko.

Pomyślałam o najbliższych, o moich znajomych, sąsiadach i o moim ojcu i matce. Byłam pewna, że są ze mnie dumni i szczęśliwi, że dokonała tego ich córka. Matka zapewne modli się teraz za mnie, a ja chciałabym jej powiedzieć — niepotrzebnie matko, to dzieło naszych wybitnych naukowców i inżynierów i Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Nagle zobaczyłam horyzont w czerwieni, z którego wyłoniło się słońce i znowu byłam po jasnej stronie ziemi. Tak szybko to się stało, prawie nagle, niespodziewanie, jakby człowiek przyspieszył obrót ziemi, ale to było tylko złudzenie. Piękne złudzenie.

Spojrzałam na sztuczny horyzont, przelatywałam nad oceanem, sprawdziłam, czy go zobaczę i zobaczyłam. Zakrywał całą planetę, która wydała mi się zbyt mała. Serce zabiło mi mocniej.

— Zaria! Zaria! Tu Łabędź! Czy mnie słyszycie?! Podajcie parametry lotu! Podajcie moją wysokość! — krzyczałam, ale nikt mi nie odpowiedział. Spojrzałam w obiektyw kamery, jedynego świadka mojego krzyku i zrozumiałam, że nikt mi nie odpowie. Byłam

za daleko od naszych anten nadawczych.

— Nikt mi nie odpowie, nikt nie usłyszy mojego wołania — powiedziałam cicho i wtem znowu zobaczyłam diamencik za szybą iluminatora. Poruszał się tym samym torem co wcześniej i z tą samą prędkością. Okrążał mnie, a raczej ja wirowałam wokół niego. Czym był? Nie umiałam zgadnąć, ale był piękny i drobny i niegroźny. Wędrował cały czas ze mną, jakby mnie obserwował. Nie wydawał się żywy, nie sprawiał takiego wrażenia, ale... dodawał mi otuchy.

Wtem radio zatrzeszczało i usłyszałam głos człowieka.

— Łabędź. Łabędź. Czy mnie słyszysz?

— Tak. Słyszę was dobrze i wyraźnie. Czy możecie mi powiedzieć coś o parametrach lotu?

— Lot przebiega zgodnie z planem, a orbita jest prawidłowa...

Odetchnęłam z ulgą i chciałam zameldować o stanie przyrządów, ale Zaria jeden nie przerwał komunikatu.

— ... przygotowujemy procedurę wejścia w atmosferę. Powtarzam. Czekaj na polecenia. Przygotowujemy procedurę wejścia w atmosferę.

— Zrozumiałam. Czekam na polecenia.

Nie było tego na ćwiczeniach, nie przerabialiśmy takiej sytuacji. Czy ta zmiana miała coś wspólnego z moją wysokością, która wydawało mi się, wciąż rosła?

— Łabędź. Zmień orientacje statku zgodnie z procedurą numer siedem.

Bez zastanowienia, jak automat, wykonałam polecenie, ale nic się nie stało. Powinnam usłyszeć szum pomp, syk silników manewrujących, które obróciłyby statek dyszą retro-silnika w kierunku lotu, jednak tak się nie stało.

— Zaria jeden! Silniki nie reagują! Powtarzam! Silniki nie reagują!

Po takim komunikacie centrum powinno uruchomić zdalne sterowanie. Tak było na ćwiczeniach, taka była procedura na wypadek, gdyby pilot nie był w stanie cokolwiek zrobić, lub był nieprzytomny.

Głośnik milczał długi czas, aż w końcu usłyszałam znajomy głos

numeru dwadzieścia.

— Czekajcie na instrukcje. Mamy spory zapas czasu. Spra...

Głos się urwał nagle, jakby ktoś przeciął kabel, a z głośnika wydobywał się jednostajny, nieprzerwany szum.

— Zaria! Zaria! — krzyknęłam, czując, jak skryty we mnie strach rośnie. — Nie usłyszałam! Czy możecie powtórzyć?! Zaria jeden! Czy możecie powtórzyć?!

Spokojnie, tylko spokojnie — mówiłam w myślach. — Jeszcze nic nie jest przesądzone, jeszcze wszystko da się naprawić. Tylko muszę być spokojna, muszę mieć jasny umysł, sprawne dłonie. Muszę się uspokoić, być opanowana, gotowa wykonać instrukcje, które właśnie opracowują nasi najlepsi inżynierowie. Bo teraz to właśnie robią, sprawdzają wszystkie systemy, znajdą usterkę i sposób jej usunięcia. Muszę dać im czas, być cierpliwa i opanowana.

Już byłam w podobnej sytuacji, gdy powracając z nocnego nalotu, odłamek zerwał przewody anten i nie umiałyśmy z Maszą odnaleźć macierzystego lotniska. Wtedy chłopcy rozpalili kilka ognisk, a my je dostrzegłyśmy nad skrytą w ciemnościach ziemią i szczęśliwie wylądowałyśmy. Wiedziałam, że zrobią wszystko, bym powróciła do domu. Wierzyłam w to. Bardzo wierzyłam.

Jednak radio milczało zbyt długo, a zarysy mojej ojczyzny były coraz bardziej widoczny. Rozpoznawałam linie brzegów, wijące się pośród zielonych połaci nitki rzek, piaszczyste tereny Kazachstanu i białe tereny północnej Rosji. Widziałam to w małym okienku, i już nie miałam złudzeń. Oddalałam się od ziemi. Spróbowałam oszacować wysokość, a potem ilość potrzebnego paliwa, aby obniżyć orbitę na tyle, bym mogła ponownie wejść w atmosferę. Pierwsze moje obliczenia były dla mnie optymistyczne. Paliwa w module serwisowym było wystarczająco dużo, zestawy silników kontroli orientacji miały prawidłowe ciśnienie w przewodach, wszelkie wskazania na pulpicie pokazywały prawidłowe parametry, a jednak coś zawiodło, coś, czego nie pokazywały przyrządy. Drugie obliczenia już nie były takie budujące, lecz zlekceważyłam je z prostej przyczyny. Nie znałam dokładnej wysokości orbity, po której się poruszałam

i nie umiałam określić dokładnej prędkości. To czyniło moje wysiłki daremnymi i zdałam sobie sprawę, że tylko udaję przed samą sobą, że nad tym panuje. Ciemność opanowała moje myśli, oblepiała każdy skrawek nadziei, dusiła we mnie całą radość z czynu, jaki dokonałam. Ziemia zniknęła za krawędzią iluminatora, i już jej nie dostrzegałam, choć wciąż się obracałam, widziałam tylko czerń i odległe gwiazdy.

Pokrętłem zmieniłam radionadajnik na inną antenę, tę, która wystawała z tyłu i powinna widzieć ziemie. Wywołałam Zarie jeden, potem Zarie dwa, ale nikt mi nie odpowiedział, więc wywołałam kogokolwiek:

— Ziemia. Ziemia. Czy ktoś mnie słyszy? Czy ktokolwiek słyszy mnie? — starałam się mówić spokojnie, ale głos drżał mi, a gardło dusiło jakby w żalu. — Oddalam się od ziemi, nie widzę jej. Czy ktokolwiek odbiera mój komunikat? Ktokolwiek?

Długą chwilę czekałam na odzew, na ludzki głos, na trzask z głośnika, chrobot, cokolwiek, co by było znakiem, że ktoś mnie usłyszał i próbuje mi odpowiedzieć. Nic takiego się nie stało i zrozumiałam, że oddaliłam się poza zasięg anten jakiegokolwiek radia na ziemi.

Zamknęłam oczy. Nic nie mogłam zrobić poza zamknięciem oczu i czekaniem na nieznane. Próbowałam nie myśleć, dusiłam w sobie każde niewypowiedziane słowo, niczym chirurgicznym nożem ucinałam każde uczucie, które próbowało we mnie zakiełkować i czekałam, nie myśląc o nadziei ani o jego utracie. Pierwszy raz w życiu zdałam się na los, odrzuciłam walkę, odrzuciłam wiarę w ludzi na ziemi i postanowiłam czekać na nieuchronne przeznaczenie.

Jak długo trwałam w tym zobojętnieniu? Jak długo starałam się nie myśleć o tym, co może mnie czekać, jaka śmierć jest mi pisana? Wydawało mi się, że kilka godzin, że czas biegnie równie szybko, jak na ziemi, lecz gdy zdecydowałam się otworzyć oczy i spojrzałam na zegar, zrozumiałam, że minuty są dla mnie niczym kwadransy. Nikt przede mną tego nie sprawdził, byłam pierwsza, która mogła zaobserwować inny, bardzo spowolniony upływ czasu i opisać

to słowami.

— Zaria. Zaria... Jeśli mnie słyszycie. Ktokolwiek na ziemi. Chcę wam przekazać moje obserwacje. Chcę, abyście wiedzieli... — zawahałam się. A jeśli właśnie chcę zdradzić coś bardzo ważnego? Jeśli moje informacje dotrą nie tylko do naszych? Zdawałam sobie sprawę z wielkości moich obserwacji, jak ważne są dla przyszłych lotów i zamilkłam. Wciąż żyłam, nie miałam podstaw sądzić, że mój statek przekroczył krytyczną prędkość i eliptyczny tor orbity, po której się teraz poruszałam, został przerwany. Nasi naukowcy wielokrotnie to sprawdzili, wysłali w kosmos kilkadziesiąt rakiet i żadna nie uzyskała prędkości ucieczkowej, więc i moja nie mogła tego dokonać. To oznaczało, że po osiągnięciu apogeum, zacznę się zbliżać do ziemi. Wówczas wlecę w strefę zasięgu naszych anten radiowych i przekaże wszystkie informacje. Otrzymam też instrukcje, jak zmusić nieposłuszne silniczki manewrowe do pracy.

I znowu spróbowałam obliczyć, ile taki lot potrwa i jak poprzednio wyniki były dalekie od prawdy. Mogłam lecieć dzień, dwa, a nawet tydzień. Zapasu mieszanki azotu i tlenu miałam na dziesięć dni, wody i pożywienia tyle, co w żelaznym zapasie na wypadek lądowania w trudnym i oddalonym od ludzi terenie. Nie umrę z pragnienia ani głodu, ale uduszę się, wdychając coraz to mniej zasobne w tlen powietrze.

Westchnęłam głośno i postanowiłam już nie myśleć o tym. Nie miałam na to żadnego wpływu, więc martwienie się nie miało sensu.

Udało mi się uspokoić myśli i serce. Przymknęłam powieki i oddychając spokojnie, wyobraziłam sobie, że jestem na ziemi, nad wielkim jeziorem niedaleko mojej wioski. Świeciło słońce, rozgrzewając moją skórę, trawa zieleniła się soczyście, woda marszczyła się od delikatnego wiatru. Stałam na wysokiej skarpie, tuż nad brzegiem i wpatrywałam się w horyzont, za którym był drugi brzeg, druga wioska, w której żył Jura o jasnych jak dojrzałe zborze włosach i ślicznej twarzy. Często przypływał łodzią wraz ze swoim ojcem i bratem, przywozili nam na wymianę nici i haki do połowu

ryb. Obserwowałam go, wstydliwie kryjąc się za plecami starszych z mojej wioski, ale on mnie zawsze zauważał i uśmiechał w taki sposób, że serce mocniej mi uderzało. Miałam wówczas piętnaście lat i nie rozumiałam, co dzieje się ze mną, dlaczego fascynuje mnie ten chłopiec o malinowych ustach, z jakiego powodu pragnę, aby podszedł do mnie, blisko, bardzo blisko, tak bardzo, że aż strach mnie oblatywał. Czy to była miłość? Nie wiem i nigdy się nie dowiedziałam. Jura został zabrany do armii, walczył przez całą wojnę i zginął w jej ostatnim dniu, gdy tuż za progiem było zwycięstwo.

Gdy dotarła do mnie wiadomość o jego śmierci, poczułam ogromny żal, choć nigdy nie zmówiliśmy się, ja wciąż miałam go w swoich myślach, śniłam o nim, wyobrażałam sobie nasze pierwsze spotkanie, pierwsze słowa, jakie do siebie wypowiemy, nasz wspólny pierwszy spacer, niewinne spojrzenia, lekki uścisk jego dłoni na mojej dłoni. Przez cały okres wojny, a potem gdy i ja postanowiłam walczyć za ojczyznę, czekałam na niego, byłam pewna, że ten dzień kiedyś nadejdzie, że nie na próżno słał mi uśmiechy i wodził za mną oczami, co bardzo mnie wówczas zawstydzało. Był chłopcem niewiele starszym ode mnie, ale widziałam w nim mężczyznę, a o sobie myślałam, że jestem dorosła i mając zaledwie lat siedemnaście, zgłosiłam się do armii. W krótkim czasie zrobili ze mnie pilota i zanim wojna się skończyła, zdołałam kilkukrotnie wywinąć się śmierci.

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się po wnętrzu kapsuły. Sprawdziłam wskazania na pulpicie i kontrolki na panelu radia.

— Wszystko jest w normie — powiedziałam szeptem i na powrót zamknęłam oczy.

Dlaczego wybrali właśnie mnie? — zadałam sobie w myślach pytanie. — Co było w moim życiorysie na tyle niezwykłego, że przyjęli moje zgłoszenie na kosmonautkę, wybrali spośród dwudziestki innych dziewczyn do dalszych treningów i szkoleń, a potem zdecydowali się powierzyć mi tak ważne zadanie?

Pochodziłam z prostej rodziny, moi rodzice byli zwykłymi robotnikami, moja wioska nie wyróżniała się niczym szczególnym,

więc dlaczego ja?

Wykształcenie uzyskałam w armii, z której nie odeszłam po wojnie, ale koleżanki nie ustępowały mi na tym polu, a nawet niektóre wyprzedzały; więc dlaczego ja?

Na testach sprawności fizycznej, w czasie trudnych sprawdzianów z wytrzymałości nie wygrywałam z innymi, a jednak do pierwszego lotu wybrali mnie.

Byłam najdrobniejsza z całej sześcioosobowej grupy, ważyłam zaledwie czterdzieści osiem kilogramów przy wzroście sto pięćdziesiąt centymetrów i najlepiej znosiłam przeciążenia, najłatwiej radziłam sobie w długich marszach, jakie nam fundowali szkoleniowcy, ale byłam też najstarsza, przekroczyłam trzydziestkę, gdy inne były młode i wydawało mi się silniejsze i szybsze.

Zapewne nigdy nie poznam prawdy, być może nie pozna jej świat, jak wszystko, co ważne dla naszego narodu, utajnią protokoły, dokumentacje zamkną w archiwum, celebrować będą tylko wydarzenie.

Zresztą — dumałam — moja historia wciąż się pisze, mój lot nie skończył się, statek i jego pasażer nadal kontynuują swoją misję, a dziesiątki inżynierów i naukowców pracują nad jej szczęśliwym zakończeniem.

Wtem oświetlenie kapsuły zgasło i pogrążyłam się w ciemności. Poruszyłam się nerwowo, wstałabym, gdyby nie przytrzymywały mnie pasy, i usłyszałam cichy pisk wydobywający się z moich ust. Wystraszyłam się, na ułamek sekundy poddałam się instynktowi, który nakazał mi uciekać lub walczyć. Kontrolki nadal paliły się, tak samo, jak podświetlenia manometrów, wskazań wilgotności i temperatury. Paliły się też lampki na panelu radia, informując mnie, która z anten odbiera sygnał. Jedna z nich przygasała, to znów jaśniała w dziwny sposób, jakby mówiła do mnie, jakby chciała mi coś przekazać. Szybko rozpoznałam w tym kod Morse'a, serce mocnej mi uderzyło, radość zagościła w moim umyśle i na głos zaczęłam odczytywać wiadomość. Litera po literze, składałam je w wyrazy a te w całe zdanie, aż wiadomość się zapętliła i mogłam odczytać ją

ponownie.

„Wyłączyliśmy zbędne systemy. Stop. Usterka znaleziona i naprawiona. Stop. Czekamy na dogodny czas wejścia w atmosferę. Stop. Do zobaczenia na ziemi, obywatelu majorze".

Komunikat powtórzono trzykrotnie, po czym radio zgasło, stając się ciemnym martwym przedmiotem.

— Nie zginę, nie umrę w pustym kosmosie — powiedziałam na głos i odetchnęłam głęboko, starając się uspokoić.

Po raz pierwszy pomyślałam, że mogę podnieść szklaną przyłbicę hełmu, i to zrobiłam. Kilka razy głęboko zaciągnęłam się powietrzem z kabiny. Miało metaliczny posmak, czuć było w nim rozgrzane elektrycznością okablowanie, poza tym wydało mi się chłodne, choć termometr wskazywał, że w kabinie jest dwadzieścia stopni. Miałam ochotę rozpiąć kombinezon i uwolnić się z niego, choć na chwilę odczuć chłód, ale nie odważyłam się złamać rozkazu, który zabraniał mi nawet rozpinania pasów przytrzymujących mnie do fotela. Wierzyłam naszym naukowcom, którzy ostrzegali nas, że w stanie nieważkości znacznie utrudnione, lub wręcz niemożliwe będzie sprawne poruszanie się człowieka. Jednak szybko przyzwyczaiłam się do lekkości ramion i nóg, w parę chwil nauczyłam się poruszać nimi w nieważkości i nie stanowiło to dla mnie żadnego problemu. Byłam pewna, że mogłam rozpiąć pasy, uwolnić się, a potem na powrót przypiąć bez większych trudności. Tyle że rozkaz był rozkazem i nie zastanawiałam się nad tym więcej.

Nie pamiętam momentu, w którym usnęłam, stało się to nagle, jakbym utraciła świadomość, może nawet tak się stało, bo gdy otworzyłam oczy, rozbolała mnie głowa. Wyszkolonym nawykiem sprawdziłam wszystko systemy, a potem spojrzałam przez iluminator. Czekałam na znajomy widok, na błękitny obraz w ciemnej pustce. Gwiazdy przesuwały się, zajrzał do mnie diamencik, który, już to odgadłam, był drobiną zamarzniętej wody, ale ziemi nie dostrzegłam, nawet jego skrawka. Słońca i księżyca też nie ujrzałam, byłam gdzieś między nimi, gdzieś wysoko nad ziemią. Ból z tyłu głowy z wolna ustępował, czułam suchość

w ustach i głód w trzewiach. Wiedziałam, że już niedługo będę musiała podjąć decyzję, ważną i być może niebezpieczną. Żywność i woda była blisko mnie, ale poza zasięgiem dłoni. Chcąc skorzystać z zapasów, musiałam uwolnić się z pasów, a tego nie mogłam zrobić bez rozkazu. Postanowiłam czekać, wytrzymać jak najdłużej, ile tylko pozwoli mi na to mój organizm.

Gdy ponownie ocknęłam się z bólem głowy, byłam już pewna, że z jakiegoś powodu tracę przytomność. Przyjrzałam się wskaźnikom tlenu i dwutlenku węgla. Zapas powietrza zmalał nieznacznie, a CO2 utrzymywało się na bezpiecznym poziomie.

Stuknęłam parę razy palcem w liczniki, przeczuwając, że zawodzą, ale nic z tego, wszystko było w normie, a moje omdlenia zapewne były z innej przyczyny.

Czas mijał wolno, gdy się budziłam i przyśpieszał, gdy zamykałam oczy i odpływałam w niebyt. Po kilku przebudzeniach straciłam rachubę i nie byłam już w stanie określić, ile dni byłam w kosmosie. Czy była noc, czy może dzień, było dla mnie niewiadomą. Czułam się jak rozbitek dryfujący po oceanie, tyle że nie było żadnego oceanu, nie było bezkresnego nieba, ani chłodnych podmuchów wiatru, fal kołyszących, tylko pustka, ciemność i pozorny bezruch.

Usta piekły mnie z pragnienia, ból w czaszce i mdłość w gardle podpowiadały mi, że jestem odwodniona. Zdawałam sobie sprawę, że nie mogę już dłużej zwlekać. Nadszedł czas próby, której musiałam się poddać. Sięgnęłam dłonią do klamry spinającej pasy, i już miałam się uwolnić, gdy nagle zobaczyłam kontem oka słabe światło w iluminatorze. Co to było? Czy tylko mi się wydawało? Z bijącym szybko sercem wyczekiwałam pełnego obrotu statku i gdy znowu zobaczyłam światło, aż krzyknęłam z radości:

— Ziemia!!! To ziemia!!! Widzę ją, widzę ziemię!!!

Cieszyłam się jak dziecko i łzy szczęścia popłynęły mi po policzkach.

— Zaria! Zaria! Tu Łabędź! Czy mnie słyszycie?! Czy słyszycie?!

Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam, ale głośnik milczał, więc przełączyłam na inną antenę i powtórzyłam wywołanie.

Radio milczało.

— Jestem jeszcze za daleko — myślałam na głos — być może po złej stronie ziemi, gdzieś nad Ameryką.

Mój statek obracał się, za każdym razem pokazywał więcej, ale gęste chmury nad kontynentami uniemożliwiały mi ich rozpoznanie. Leciałam pod kątem sześćdziesięciu dwóch stopni względem równika i szybko zbliżałam się do ziemi.

Nagle światło w kabinie rozbłysło, kontrolki w radiu zamigotały i w morzu szumu usłyszałam głos człowieka:

— Łabędź. Słyszymy was doskonale. Wszystko przygotowane na wasz powrót. Cieszymy się, że nic wam nie jest, towarzyszu majorze.

Odetchnęłam z ulgą, jakbym nagle wydostała się spod ogromnego głazu, który ciążył mi przez ostatnie kilka... zawahałam się, pomyślałam o czasie, który spędziłam w kosmosie i zdałam sobie sprawę, że nie byłam pewna, ile dni leciałam. Dwunastogodzinny zegar umieszczony w kapsule wciąż pracował, ale stał się w tym momencie bezużyteczny. Ile dni leciałam? Jak długo byłam narażona na pustkę kosmosu? Jaki to będzie miało wpływ na moje zdrowie i dalsze życie? Te ponure rozważania przyćmiły mi na chwilę radość, jaką miałam jeszcze kilka minut temu. Zastanawiałam się nad swoją przyszłością, tą, którą ukrywałam przed znajomymi, a nawet przed koleżankami. Zapytana kiedyś, czy planuje wyjść za mąż i urodzić dziecko, odpowiadałam, że moim mężem jest armia, a dziećmi samoloty. Uśmiechałam się przy tym życzliwie, trochę z przekorą, trochę z wyższością, chciałam, aby mi uwierzyli i chyba tak było. Byłam dumna z tego, co robiłam dla ojczyzny, cieszyłam się z każdego odniesionego sukcesu i mogłam uchodzić za taką, która znalazła swoją drogę w życiu. Jednak czasami wspominałam młodzieńca o gęsty blond włosach i marzyłam, że kiedyś odnajdę swoją miłość, a wówczas... kto wie? Może odeszłabym z lotnictwa, osiadła gdzieś nad wielkim jeziorem i żyła przy boku mężczyzny jako żona i... miałam nadzieję, matka.

— Zaria jeden wzywa Łabędź. Czy odbieracie nas dobrze? —

padło pytanie z głośnika. — Słyszę was wyraźnie, lecz z drobnymi zakłóceniami — odpowiedziałam i zaraz zadałam pytanie, które dręczyło mnie przez długi czas: — Jakie jest moje położenie? Czy możecie powiedzieć coś o locie? Co mówi telemetria?

Radio długi czas milczało, co oznaczało, że zastanawiają się, ile mogą zdradzić mi, ale też wszystkim, którzy mogli przechwycić naszą rozmowę. Zastanawiałam się, kto podejmie decyzje, który z ważnych ludzi pozwoli, lub zabroni człowiekowi przy radiu, przekazać mi dane z telemetrii? Czy będzie to główny inżynier, czy może ktoś z Moskwy, ktoś na najwyższym szczeblu? Jakąś chwilę bawiłam się wyobrażeniem, jak to rozdzwaniają się telefony w całym Związku Radzieckim, pukają do drzwi samego pierwszego sekretarza, a ten rozważa moje pytanie. To była moja chwila pychy: ja, mała kobietka, z nic nieznaczącego pułku lotniczego, zadałam pytanie, nad którym pochylił się sam pierwszy sekretarz. Przez chwile byłam nawet z siebie dumna, poczułam się ważna, może nawet najważniejsza na świecie, ale moją radość zakończył komunikat, który otrzymałam:

— Łabędź. Proszę wykonać procedurę numer trzynaście. Łabędź. Proszę wykonać procedurę trzynaście. Czy mnie zrozumieliście?

Zamarłam z przerażenia. Przez długą chwilę nie potrafiłam skupić się, chyba nawet przestałam oddychać, myślałam tylko nad tym, co usłyszałam i co to oznaczało dla mnie.

— Łabędź! Czy odebraliście rozkaz?!

Więc to już nie była prośba, teraz to był rozkaz.

— Przyjęłam... — zawahałam się. Zastanawiałam się, czy powinnam powtórzyć rozkaz? Jeśli bym go potwierdziła, nie mogłabym go zignorować. Nie miałabym innej możliwości. Jeszcze raz rozważyłam: co oznacza dla mnie wykonanie procedury trzynaście i jakie konsekwencje mogą mnie czekać, gdy będę próbowała zignorować rozkaz. Gdybym nie była żołnierzem tylko na przykład szwaczką, byłoby mi pewnie łatwiej, ale byłam oficerem radzieckim, żołnierzem najdumniejszej armii świata, weteranem walk o Berlin, czynną aktywistką partyjną, więc nie potrafiłam się zbuntować.

— Zaria. Czy możecie wyjaśnić?

— To jedyne rozsądne rozwiązanie, towarzyszu majorze — odpowiedziano mi po krótkiej zwłoce.

Milczałam i zastanawiałam się, co kryło się za słowami: „rozsądne rozwiązanie". Zdawałam sobie sprawę, że lot nie przebiegał zgodnie z planem, że mój statek uzyskał znacznie wyższą orbitę, niż planowano, że najprawdopodobniej nie przeżyje następnego okrążenia, a moja prędkość w perygeum może być zbyt duża, by retro-silnik zdołał ją dostatecznie zredukować i sprowadzić statek na ziemię. Ale rozkaz wykonania procedury numer trzynaście nic nie zmieniał. Nie miał żadnego sensu w zaistniałej sytuacji. Wiedziałam, że utracili kontrole nad sterowaniem Łabędziem, nie mieli danych z mojego skafandra i być może panowali tylko nad radiem w kapsule. Potrzebowali mnie, moich dłoni i oczu, wymagali ode mnie posłuszeństwa, ale też wielkiego poświecenia.

— Łabędź. Proszę potwierdzić wykonanie rozkazu! — krzyknął głośnik, a ja wciąż nie potrafiłam zareagować, wciąż rozważałam, wciąż szukałam w tym logiki.

— Zrozumiałam i przygotowuję się do wykonania procedury numer trzynaście!

Usłyszałam swój głos, jakby był obcy, nie mój, jakby ktoś z boku wypowiedział te słowa, a ja je tylko usłyszałam. Brzmiał twardo jak wyrok, jak rozkaz wydany plutonowi egzekucyjnemu.

Wydobyłam zalakowaną kopertę, rozdarłam ją i odczytałam trzycyfrowy kod. Jak zaprogramowana maszyna moje ramie wysunęło się i palce wstukały klawisze z podanymi cyframi na panelu odkodowującym. Miałam wrażenie, że robię to niczym automat, że wszystko, co wykonuje, dzieje się poza moją świadomością, że to już nie jestem ja, tylko ktoś obcy, nie człowiek, tylko mechanizm. Statek zakołysał się lekko i ustawił osią w kierunku lotu, lampki kontrolne zasygnalizowały prawidłowe nastawy i gotowość retro-silnika.

— Wykonuję procedurę numer trzynaście — zameldowałam. — Proszę podać czas do zapłonu.

— Łabędź. Zrozumiano. Czas do zapłonu minus dwie minuty trzydzieści sekund.

— Przyjęłam. Ustawiam czas na dwie minuty i trzydzieści sekund.

Ustawiłam znacznik na zegarze i jak zahipnotyzowana wpatrywałam się we wskazówki.

Więc zostały mi dwie minuty — pomyślałam, przyglądając się powolnemu ruchowi wskazówki minutowej.

— Co się potem stanie? — zapytałam się w myślach. Nie byłam tego pewna. Nikt tego przede mną nie sprawdził. Nikt tak długo nie przebywał w kosmosie. Nikt też w nim nie umarł. Byłam pierwsza. Jako jedyna przedstawicielka ludzi wyruszyłam w pustkę kosmosu i jako jedyna miałam się przekonać... jak to jest... umierać w kosmosie.

Wskazówka minutowa zbliżała się do znacznika. Nie bałam się, nie myślałam o konsekwencjach i wierzyłam, że dowództwo wie, co robi. Nie poświęciliby tak ważnego projektu, nie zdecydowali się na tak desperacki krok, gdyby mieli szanse choć jedną na tysiąc uratowania statku. Ta wiara dodawała mi siły, uspokajała.

— Zaria do Łabędzia. Zaria do Łabędzia.

— Łabędź, słyszę was doskonale — odpowiedziałam na wezwanie.

— Cały naród dziękuje wam za wasz bohaterski czyn. Na kartach historii...

Nie miałam ochoty tego słuchać, więc wyciszyłam radio. Nie potrzebne mi były pochwały, podziękowania, ani zapewnienia. Pragnęłam spokoju, całkowitego spokoju, wyciszenia myśli, stłumienia każdej emocji. Przymknęłam oczy i pogrążyłam się w pustce własnego umysłu i jedyne co tam zobaczyłam, we własnym wnętrzu, to czarną nieskończoną przestrzeń.

— Czy to moja śmierć? — spytałam szeptem, prawie nie otwierając ust. — Czy tak wygląda wieczność?

Nie usłyszałam wybuchu za swoimi plecami, jedynie poczułam mocne uderzenie w plecy, a potem długo, wydawało mi się, że wiecznie, przyspieszenie wpychało mnie w fotel, a ja wiąż widziałam, tylko czarną pustkę własnego umysłu.

II

Czy już umarłam? — wyszeptałam w pustkę, w której się schowałam i wydawało mi się, że usłyszałam swoje słowa, jak biegną do mnie, niczym powracające echem.

— Czy to już się stało? Już po wszystkim?

Słowa i tym razem powróciły do mnie, ale wydały mi się obce, jakby wypowiedziała je młoda dziewczyna.

— Czy jesteś śmiercią?

„Czy jesteś śmiercią?" — odpowiedział mi głos małej dziewczynki.

— Ktoś ty?

„Ktoś ty?"

— Jesteś moją myślą?

„Jestem twoją myślą" — odpowiedział mi głos z pustki.

— Jesteś mną?

„Jesteś mną"

— Czy mogę cię zobaczyć?

„Możesz mnie zobaczyć"

— Jak?

„Otwórz oczy"

— Mam otwarte oczy, ale widzę tylko pustą czerń — powiedziałam, czując, jak oddalam się ot głosu.

„Otwórz oczy"

— Mam otwarte, ale cię nie widzę! — krzyknęłam i… usłyszałam swój głos i się przeraziłam. Był chrapliwy i jakby obcy.

— Czy ja naprawdę umarłam? — spytałam, słysząc, jak głos mi się łamię, jakby coś go tłumiło, nie pozwalało mi swobodnie się wysławiać.

— Nie umarłaś, moja droga. Żyjesz i nic ci nie zagraża — odparł głos dziewczynki, który nagle dobiegł mnie z przeciwnej strony czarnej pustki.

— Czy śmierć nie istnieje? Czy ta pustka jest moją wiecznością? Czy tak już będzie zawsze? — wyrzucałam z siebie pytania, czując, jak łzy spływają mi z kącików oczu i gromadzą się po bokach mojej głowy. Poczułam ich wilgoć i chłód, poczułam je na swojej skórze i uniosłam dłoń, której nie umiałam dostrzec i dotknęłam miejsca,

gdzie gromadziła się wilgoć.

— Czuję! — krzyknęłam, załkałam i rozpłakałam się, choć nie rozumiałam z jakiego powodu. Płakałam długo, bardzo długo, aż odczułam ból w piersi, a potem w trzewiach, rozbolały mnie ramiona i dłonie i nogi aż po końcówki palców. Nie rozumiałam nic z tego, co działo się ze mną, nie zastanawiałam się, nie myślałam i nie czułam nic poza bólem własnego ciała.

A potem przyszła radość i zaśmiałam się głośno, choć nie byłam pewna z jakiej przyczyny. Następnie dopadł mnie smutek i na powrót, przez krótką chwilę, zaczęłam łkać. Potem na przemian odczuwałam złość, żal, zaniepokojenie, znowu radość i ogromny gniew, miałam ochotę niszczyć, a następnie ogarnęło mnie wielkie uwielbienie do czegoś, lub kogoś. Litość mieszała się z pogardą, nienawiść ze współczuciem, ból z rozkoszą, lęk z zuchwalstwem, miłość z nienawiścią. Uczucia wirowały we mnie jak w wielkim kotle, to wypływały, to spadały na samo dno, swą nieznośną mieszanką przyprawiały mnie o mdłości i krzyknęłam głośno:

— Dość!!!

I nagle wszystko ustało. Przestałam czuć ból ciała, przestałam odczuwać smutek i radość, przestałam kochać i nienawidzić. Oddychałam szybko, a serce waliło mi głośno i wówczas poczułam na czole czyjąś dłoń, chłodną i delikatną.

— Nie bój się moja droga — głos małej dziewczynki był bardzo blisko mnie. Tuż nad moją twarzą i wydawało mi się, że poczułam jej oddech.

— Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem? — spytałam zbolałym głosem.

— Jesteś w szpitalu, nic ci nie grozi, wszystko się udało — zapewniała mnie łagodnym i troskliwym tonem.

— Dlaczego jestem w szpitalu? — spytałam zaskoczona i spróbowałam przypomnieć sobie ostatnie chwile sprzed przebudzenia, odnaleźć w pamięci przyczynę, dla której znalazłam się w szpitalu, ale była tam tylko czarna pustka.

— Nic nie pamiętam, czy miałam wypadek?

— Wykonywałaś misje... — stojąca nade mną dziewczynka zaczęła mówić, ale gwałtownie jej przerwałam, nagle przypominając sobie.

— Tak! Miałam ważną misję! Najważniejsze zadanie! Byłam w statku...!

I nagle zamilkłam, gdyż zdałam sobie sprawę, co zrobiłam, zanim się obudziłam. Przez chwilę analizowałam każdy fragment wydobyty z umysłu, każdą myśl, każdą zapamiętana czynność, zobaczyłam obraz wnętrza kapsuły, okablowanie, pokrętła i tarcze ze wskaźnikami.

— Jak to możliwe? Udało mi się? Misja skończyła się pomyślnie? — spytałam wyjątkowo spokojnym głosem, jakbym nie zdawała sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się wówczas znalazłam. Domyśliłam się, że zanim uruchomił się silnik rakiety w module serwisowym, ponownie straciłam przytomność.

— Przecież pamiętam, że ustawiłam zegar, i automat powinien... — zastanawiałam się na głos, ale dziewczynka położyła mi palec na usta i nakazała szeptem:

— Cicho, moja droga. Nie myśl teraz o tym. Teraz odpoczywaj — mówiła pełnym sympatii głosem, a potem oddaliła się, stąpając cicho i znowu ją usłyszałam.

— Twoje ciało potrzebuje odpoczynku i ty potrzebujesz odpoczynku.

— Co to znaczy? — spytałem i zapadłam w sen.

Śniło mi się, że jestem w kapsule Łabędzia i zbliżałam się do ziemi. Obserwowałam ją przez małe okno, a ona powiększała się szybko. Bałam się, że się rozbiję, krzyknęłam z przerażenia, a potem poczułam pęd powietrza na twarzy i nagle nie byłam już w kosmosie, tylko nad wielkim płonącym miastem. Pode mną wykwitały czerwone rozbłyski wybuchów, które szybko zasłaniał czarny dym. Małe ogniki wypluwane z karabinów maszynowych leciały wzdłuż zrujnowanych ulic, szukając celu. Czarne pancerze pełzły wśród ruin, rażąc pociskami odległe budynki, w których skrywali się ludzie, rzygały ogniem w puste oczodoły domów, zamieniając je w gorejące piece. Widziałam, jak wybiegają z ukryć płonące żywe pochodnie, które

upadały szybko i nieruchomiały. Spadałam w sam środek tego piekła i nie mogąc nic zrobić, krzyczałam przeraźliwie.

Wtem wszystko ginie w wielkiej jasności, niczym w gigantycznym wybuchu; jeszcze słyszę własny krzyk, gdy nagle czuję czyjąś dłoń na swym czole i uświadamiam sobie, że to był tylko sen.

— Wreszcie się obudziłaś — powiedział znany mi głos.

— Śniła mi się wojna, mój samolot został zestrzelony i nie mogłam się uratować — mówiłam, oddychając ciężko.

— To tylko wspomnienia — powiedziała po chwili, jakby się zastanawiała, jak mnie pocieszyć, a ja spostrzegłam, że nie otacza mnie już czerń, tylko jasne światło ze snu, które nie zniknęło po przebudzeniu. Rozejrzałam się wokoło i zauważyłam z boku mnie delikatną szarą plamkę. Plamka zaczęła powoli rosnąć, a wraz z nią dostrzegałam inne wyłaniające się cienie.

Szara plama nachyliła się nade mną i zaczęła przybierać ludzkie rysy.

— Odzyskuję wzrok — powiedziałam, ucieszywszy się bardzo.

— Uśmiechasz się — powiedziała kobieta o pełnej twarzy, życzliwym spojrzeniu i serdecznym uśmiechu. Miała gęste włosy zaplecione pod białym czepkiem pielęgniarki. Miała nie więcej jak pięćdziesiąt lat i przypominała mi kogoś, kogo już spotkałam. Uśmiechnęłam się do niej, a ona odwzajemniła mój uśmiech, patrząc na mnie z troską, jakiej dawno nie widziałam u ludzi.

— To dobry znak — dodała i odsunęła się do tyłu, a ja rozejrzałam się po pomieszczeniu, w którym leżałam. Wszędzie dookoła biel: sufit, ściany, moje łóżko, przykrywająca mnie pościel, lampa na suficie, drzwi po prawej i zasłony zasłaniające całą lewą cześć.

— Jestem w szpitalu — stwierdziłam i szybko dodałam pytanie:

— Czy to Moskwa?

— Tak, moja droga. Jesteś w szpitalu i nic ci nie zagraża — odpowiedziała z zauważalną zwłoką, a jej głos zmienił się i był dojrzały, pasujący do niej. Rozejrzałam się, unosząc głowę.

— Była tu dziewczynka — powiedziałam, nie dostrzegając nikogo

poza nami. — Nie wie pani, gdzie jest teraz?

Pielęgniarka przybrała zamyśloną minę, jej wzrok na ułamek sekundy utkwił martwo w jednym punkcie, a potem odpowiedziała.

— Nie ma tu żadnej dziewczynki.

— Ale ja ją słyszałam, przed chwilą była tu i do mnie mówiła.

— Zapewniam cię, moja droga, że nie mogło jej tu być. To niemożliwe. Musiało ci się to przyśnić.

Głos kobiety wydał mi się suchy i pozbawiony emocji. Mimo życzliwego wyrazu twarzy i pełnego empatii spojrzenia, jej słowa zabrzmiały złowrogo i ostrzegawczo.

Przyjrzałam się jej dokładniej. Miała naprawdę piękne włosy, idealnie ułożone, oczy żywe, młode, usta różowe i bez śladu pomadki, cera gładka i czysta, jak u dziewczęcia. Wyglądała jak aktorka ze sceny w teatrze.

— Poproś lekarza, chcę rozmawiać z wyższym oficerem? — zwróciłam się do niej służbowym tonem. — Zakładałam, że to wojskowy szpital i personel podlega armii.

— Lekarz już ci nie jest potrzebny — mówiła łagodnie, wcale nie zważając na moje surowe spojrzenie i oschłą wypowiedź.

— Co to ma znaczyć?! Zwracasz się do oficera! Czy chcesz, abym zgłosiła przełożonym twoją niesubordynację?!

Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem. Ja wierciłam ją niczym szablą kozacką, ona serdecznym uśmiechem pełnym dobroci i współczucia. To było dziwne. Nigdy nie spotkałam człowieka, który by nie zareagował na taką groźbę inaczej, jak lękiem. Pomyślałam, że coś z nią jest nie tak, a wtedy ona przeszła przez pokój do drzwi i powiedziała:

— Skoro tego chcesz, zrobię to. — Otworzyła je, pozwalając mi zerknąć na korytarz. Był spowity czernią, jakby nic tam nie istniało, a potem wyszła bez słowa, wciąż z tym samym uśmiechem na twarzy.

Jest noc — pomyślałam — i pewnie żadnego lekarza nie zobaczę do rana. Jeszcze raz rozejrzałam się po sali. Ściana, ściana, ścian i sufit. Pośrodku stało moje łóżko, ale nie było przy nim żadnego

stolika, czy krzesła. Moją uwagę zwróciło szczelnie zasłonięta część sali po mojej lewej stronie. Zastanawiałam się, czy ktoś tam leży, czy może to tylko taka dziwna zasłona na okna. Byłam ciekawa, więc uniosłam się i odsunęłam przykrywającą mnie lekką jak piórko i delikatną w dotyku kołdrę. Nie miałam na sobie żadnej bielizny ani szpitalnej pidżamy i zaskoczona tym, wydałam z siebie ciche — Och.

Szybko zasłoniłam nagie ciało i zsunęłam nogi na podłogę, otulając się szczelnie pościelą.

— Czy ktoś tam jest? — rzuciłam pytanie w stronę zasłony. Przez chwilę nasłuchiwałam, ale nikt mi nie odpowiedział. Podeszłam bliżej i odsłoniłam ją trochę. Nie było tam nikogo, tylko wielkie okno wypełniające całą ścianę. Na zewnątrz była noc, świeciły lampy uliczne, w oknach domu po drugiej stronie szerokiego placu paliły się światła, z komina unosiła się siwa struga dymu, a nad nim widać było zabarwione poświatą miasta, brązowe niebo z nielicznymi gwiazdami i księżycem w kwadrze. Pomyślałam, że jednak mi się udało, że mimo braku nadziei, jestem na ziemi i nic mi nie jest. Uśmiechnęłam się i poczułam ogromne szczęście, jakiego dawno już nie odczuwałam. Aż ścisnęło mnie ze wzruszenia w piersi i miałam ochotę się rozpłakać, gdy zobaczyłam w dole idących chodnikiem ludzi. Oparłam się dłońmi o ramę okna i przytuliłam twarz do chłodnej szyby, jakbym chciała być bliżej nich, jeszcze bardziej im się przyjrzeć i zapragnęłam do nich krzyknąć: Hej, ludzie!! Patrzcie na mnie!!! Jestem tu z wami!!! Jestem na ziemi!!!

Jednak milczałam, radując się bardzo i przyglądałam się przechodniom, jakbym nie widziała ich dziesiątki lat i wydali mi się bardzo piękni.

— Piękny widok, prawda? — usłyszałam za sobą, głos pielęgniarki.

— Czy to Moskwa? Jestem w Moskiewskim szpitalu?

— Tak, moja droga. To jest Moskwa — odpowiedziała smutno, a głos się jej załamał, gdy wypowiadała nazwę miasta.

Odwróciłam się do niej, zapomniawszy na chwilę o złości do niej

i poleceniu dla niej. Zaintrygowała mnie jej nagła zmiana nastroju. Pogodna i troskliwa twarz zmieniła się w zmęczoną i smutną. Pomyślałam, że to przeze mnie, więc zrobiło mi się jej żal.

— Przepraszam, że na was nakrzyczałam — powiedziałam, a ona na sekundę się uśmiechnęła i odrzekła:

— To nie twoja wina, moja droga. Wiem, że się boisz, że masz dużo pytań i chcesz je zadać odpowiednim osobom.

Zaskoczyła mnie swoją wnikliwą obserwacją. Tak, bałam się, mimo odczuwania wielkiej radości, bałam się, choć nie potrafiłam sprecyzować, co było tego przyczyną. Lęk tkwił we mnie, gdzieś w głębi, ukryty jak zawsze, ale słyszałam jego ciche nawoływania.

— Dlaczego sądzisz, że się boję? — spytałam, nie puszczając jej wzroku.

Przez chwilę mierzyłyśmy się oczami, nie ulegając sobie, jakbyśmy były sobie równe osobowością i odwagą. Miała szare oczy, takiego samego koloru co moje, ładnie podkreślone długimi rzęsami, brwi uniesione nadające twarzy zadziorności tak jak u mojej matki, nos wąski i usta pełne, ślicznie ułożone w równe łuki. Była piękna, jak aktorka, i to wrażenie na ułamek sekundy onieśmieliło mnie. Odsunęłam się od niej i wyjrzałam przez okno.

— Pomyślałam, że spodoba ci się ten widok — rzekła, stając obok mnie.

— Jesteś kimś więcej niż pielęgniarką, skoro mogłaś zadecydować, w której sali mnie położyć — powiedziałam, starając się, by w moim głosie nie usłyszała żadnego uczucia. Nie wiedziałam, kim jest i nie chciałam zdradzać, że ją polubiłam. Liczyłam, że sama podejmie temat i powie coś o sobie, ale ona milczała, wpatrując się w okno i przyglądając się niebu.

— Więc nic mi nie powiesz? — spytałam, zwracając się do niej twarzą.

— Co chciałabyś wiedzieć? — odpowiedziała spokojnie, nie patrząc na mnie.

— Kiedy przyjdzie ktoś z dowództwa? Prosiłam cię, abyś przekazała moją prośbę.

— Zażądałaś, abym sprowadziła lekarza.

— Nie baw się ze mną w słówka — uniosłam głos.

— Ale ty lubisz gry w słówka — odrzekła i spojrzała mi pogodnie w oczy, jakby chciała mi powiedzieć — znam cię Katio, wiem o tobie dużo, ale nie musisz się mnie obawiać.

Znowu wydało mi się, że znam tę kobietę, że gdzieś ją spotkałam, może tylko przelotnie spojrzałam na nią, idąc przez miasto, może była kimś z personelu gwiezdnego miasteczka stojącym na uboczu, kimś wówczas nieważnym.

— Jak się nazywacie i kim jesteście? — spytałam, starając się patrzeć na nią z góry, choć byłyśmy sobie równe wzrostem.

Uśmiechnęła się, a usta jej zadrżały jakby z lęku, po czym odpowiedziała:

— Jeszcze za wcześnie na tę odpowiedź. — Zaczęła się wycofywać w kierunku drzwi. — Co to znaczy?! — krzyknęłam, czując, jak rośnie we mnie irytacja.

— Proszę, abyś była cierpliwa, zaufaj mi...

— Nie!! — zaprotestowałam. — Masz obowiązek powiedzieć mi, kim jesteś! To rozkaz!!

— Wybacz mi Katio — powiedziała skruszonym głosem, po czym wyszła z pokoju.

Ruszyłam za nią, byłam gotowa dogonić ją i siłą zmusić, aby doprowadziła mnie do dowódcy placówki, ale gdy otworzyłam drzwi, nie dostrzegłam nic, poza nieprzeniknioną czarną pustką. Serce zabiło mi mocniej, lęk krzyknął donośniej z oddali w mej głowie, ale go nie posłuchałam. Wysunęłam dłoń, wymacując ścianę, postąpiłam krok w ciemność, wyczuwając chłodną i gładką podłogę.

— Gdzie się ukryłaś?! — krzyknęłam w pustkę i zrobiłam kolejny krok, a potem jeszcze jeden, wciąż dłonią opierając się o ścianę. Spojrzałam za siebie, drzwi do mojego pokoju były nadal otwarte i było w nim jasne światło, lecz nie wydostawało się ono poza próg, nie oświetlało podłogi za nimi, tak jakby trzymała je niewidzialna bariera obdzielająca światło od mroku. Miałam wrażenie, że stoję w pustce, że dookoła nic nie ma, a ściana i podłoga jest tylko

złudzeniem.

— Czy ktoś tu jest?! — krzyknęłam nieśmiało, ale nikt mi nie odpowiedział. Nie wiedziałam dokąd iść i czy potem odnajdę drogę do swego pokoju, więc zawróciłam i zamknęłam za sobą drzwi, a potem usiadłam na krawędzi łóżka i zaczęłam wszystko sobie przypominać. Trening i ludzi, którzy mnie przygotowywali do lotu. Start rakiety i każdą sekundę długiego marszu na orbitę. Pamiętałam wskazania przyrządów, drżenie rakiety, moje obawy o nią i o samą siebie, jak błagałam los, aby wszystko poszło pomyślnie, bym wytrzymała do końca. Przypomniałam sobie chwilę, w której nastąpiła awaria orientacji statku i co wówczas czułam. Z lekką satysfakcją stwierdziłam, że nie bałam się, choć sytuacja była beznadziejna. Zdawałam sobie sprawę, że moja orbita wydłużyła się bardzo i istniało ryzyko zerwania jej, ale, i to mnie wówczas nie przeraziło. Siedząc na łóżku, otulając się ciepłą i miękką kołdrą zdałam sobie sprawę, że powinnam być wówczas przerażona. Uczyli nas i wiedziałam wystarczająco dużo, by domyślać się, że nie uda mi się wrócić na ziemie, a jeśli nawet, to nie przeżyłabym tak dużego przeciążenia, hamując w atmosferze, lub rozbiłabym się o ziemie, mając zbyt dużą prędkość. To nie miało prawa się udać.

Jednak żyłam, znajdowałam się w Moskiewskim szpitalu, patrzyłam na miasto i ludzi, na księżyc i gwiazdy. Jakim cudem?

W czasie lotu traciłam kilkakrotnie świadomość, prawdopodobnie z niedotlenienia lub innej nieznanej właściwości kosmosu na ludzki organizm. Ustawiłam statek na kurs zgodny z kierunkiem lotu, tak jak nakazywała procedura numer trzynaście i ustawiłam zegar mający uruchomić retro-silnik. Potem utraciłam świadomość ponownie i nie wiem, co się wydarzyło. Czy silnik zadziałał prawidłowo, a jego szarpnięcie odblokowało korekcje lotu i udało się obrócić Łabędzia o sto osiemdziesiąt stopni? Zapas paliwa był wystarczający, aby przywrócić mi niską orbitę, po której w kilka dni, trąc o górne warstwy atmosfery, weszłabym w nią głębiej i w końcu wylądowałabym. To było mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. W takiej sytuacji problemem było miejsce mojego przyziemienia,

które z dużą dozą prawdopodobieństwa, byłoby poza bezpieczną strefą, jaką był mój kraj. Władze nie dopuściłyby do takiej sytuacji, pod żadnym pozorem nie zaryzykowaliby udostępnienia obcym swoich tajemnic. Byłam tego pewna, więc znowu zadałam sobie pytanie, czy retro-silnik zadziałał, a jeśli tak, to gdzie poleciałam?

Procedura trzynaście była rozkazem samobójczym. Miała wynieść statek na wysoką orbitę, z której nigdy bym nie powróciła. Starszy oficer w indywidualnej rozmowie wyjaśnił mi, że to lepsze, niż dostanie się w ręce imperialistów i trwające bez końca tortury. Mówił, że mogłabym nie wytrzymać i zdradzić, a przejmując nasz statek, zdobyliby przewagę nad Związkiem Radzieckim. Rozumiałam to w pełni i wierzyłam, że nie zawaham się oddać życie za tak ważną sprawę. Wykonałam rozkaz trzynaście, ten, który miał mnie pozbawić życia, a jednak siedziałam na szpitalnym łóżku, gdzieś niedaleko centrum Moskwy i nie rozumiałam, dlaczego mi się udało. Dziwiło mnie zachowanie pielęgniarki, niezwykły był pokój i niepokoiło to, co zobaczyłam za jego drzwiami. Próbowałam to sobie jakoś wytłumaczyć, że może oczy jeszcze nie działają tak, jak trzeba i dlatego nie widziałam nic w nieoświetlonym korytarzu, że jestem oszołomiona lekami, że być może przeszłam traumatyczne chwile, które umysł wymazał mi z pamięci, pozostawiając we mnie niepewność i dezorientacje.

Niepokoił mnie brak personelu i wyższych rangą oficerów. Powinni w pierwszej kolejności mnie odwiedzić, być ciekawi mojego sprawozdania, oczekiwać wyjaśnień. Zamiast tego przysyłali pielęgniarkę, wciąż tę samą, jakby specjalnie ograniczali ze mną kontakt.

Pewna myśl mnie zaniepokoiła: A jeśli coś stało się z moim ciałem, tam w kosmosie i jestem niebezpieczna dla ludzi?

Położyłam się na łóżku, przykryłam kołdrą i wpatrując w sufit, spróbowałam wyobrazić sobie życie w izolatce. Przez długie miesiące lub lata nie mogłabym wychodzić z tego pomieszczenia a jedynym człowiekiem, który się do mnie zbliży, byłaby pielęgniarka. Oczywiście znajdą sposób, by się ze mną skontaktować, istniało

przecież radio i telefon, więc wkrótce moje wszystkie pytania znajdą odpowiedzi. Dowiem się wreszcie, co stało się z Łabędziem, co było przyczyną awarii i w jaki sposób udało im się mnie uratować.

Nagle zrobiłam się senna, bardzo senna, jakby mi podano jakiś medykament. Jasne oświetlenie pokoju zaczęło drażnić mi oczy, chciałam je wyłączyć, ale nie zdołałam tego uczynnić i zasnęłam snem bez snów, a gdy się obudziłam, ona już była przy mnie, uśmiechnięta, życzliwie patrząc mi w oczy.

— Dzień dobry, moja droga. Jak ci się spało? — mówiła z matczyną czułością, jakby była mi bardzo bliska.

— Dzień dobry — odpowiedziałam i uniosłam się, podpierając na łokciach. — Długo spałam? — spytałam, rozglądając się po pokoju. Okno było odsłonięte i zobaczyłam błękitne niebo z kilkoma małymi chmurkami, słońce świeciło gdzieś z boku, po niebie latały jaskółki, miałam wrażenie, że słyszę ich przeciągły śpiew.

— Całą noc i na pewno jesteś głodna — powiedziała, po czym przysunęła do łóżka stolik, na którym stała szklanka z herbatą i głęboki talerz wypełniony podejrzanie szarą, gęstą mazią.

Uśmiechnęłam się do niej życzliwie, w końcu była jedyną osobą, która do mnie przychodziła i nie mogłam jej nic zarzucić. Wykonywała polecenia i robiła to z oddaniem, być może z poświęceniem i wielkim ryzykiem. Poza tym odczuwałam do niej sympatie, jak do żadnej innej osoby, poza moją matką.

Usiadłam na skraju łóżka, zapominając, że nie mam na sobie żadnej bielizny. Kobieta zmieszana moją nagością odwróciła wzrok, po czym powiedziała przepraszającym tonem:

— Wybacz mi, to moja wina, zapomniałam dać ci to wczoraj.

Wręczyła mi złożoną w kostkę, biała jak śnieg, długą koszulę.

— Nic się nie stało — zapewniłam ją i nagle zdałam sobie sprawę, że wcale tak nie powinno być. Nie znosiłam takich sytuacji, nawet wobec medyków byłam surowa i wymagałam od nich wstrzemięźliwości w swych medycznych powinnościach. Nie lubiłam, gdy zmuszano mnie do rozebrania i okazywania swego ciała, nawet

gdy lekarzem była kobieta. Uważałam to za poniżające i niegodne, dla każdego człowieka.

Jednak nie wstydziłam się przy niej i mój instynkt nie zareagował na tę sytuację w żaden gwałtowny sposób. Zwyczajnie, jakbym była sama w pomieszczeniu, wstałam z łóżka i nałożyłam na siebie koszulę. Była delikatna jak jedwab i równie lekka, ale nim nie był.

— Co to za materiał?

— Nie znam jego nazwy — odpowiedziała, zwracając się do mnie twarzą, po czym podchodząc do mnie, rzekła:

— A teraz, moja droga, napij się i najedz.

Usiadłyśmy razem na łóżku, ja przy stoliku, ona z boku mnie, ze złożonymi na udach dłońmi.

Upiłam łyk ciepłej herbaty.

— Smakuje wyśmienicie — zachwyciłam się i wypiłam ją duszkiem.

— A to, co za potrawka? — spytałam, wskazując łyżką talerz z dziwną w wyglądzie, szarą jak cement masą.

— Wygląda nieciekawie, ale na pewno ci zasmakuje — zapewniła mnie, przyglądając mi się z oczekiwaniem, jakby mi wręczyła prezent, który zaraz rozpakuję.

Zanurzyłam łyżkę w gęstej, budyniowatej substancji i uniosłam ją do twarzy. Pachniała słodkim owocem, wyczułam w nim arbuz, jabłko i jeszcze coś, czego nie potrafiłam zidentyfikować, i tylko szary kolor budził moją niechęć.

— No, spróbuj. — Zachęcała mnie. — Jest naprawdę bardzo smaczne.

Spróbowałam i rzeczywiście było smaczne.

— Co w tym jest? — spytałam, wkładając sobie do ust kolejną porcję.

— To mieszanka owocowa specjalnie przyrządzona dla ciebie.

— Co to znaczy, specjalnie dla mnie? — zaciekawiłam się, ale nie przestawałam jeść.

— Są tam wszystkie potrzebne twojemu organizmowi pierwiastki, stąd ten nieapetyczny kolor, ale przyznasz, że w smaku jest

doskonałe.

— Doskonałe, to odpowiednie określenie. — Przyznałam jej racje i delektując się smakiem, zjadłam wszystko z talerza. Poczułam się syta i zrobiło mi się błogo, więc pozwoliłam sobie legnąć na łóżku. Westchnęłam głęboko i czując wewnętrzny spokój, przymknęłam na chwilę oczy.

— Chcesz odpocząć? Mam cię zostawić samą? — spytała, podnosząc się z łóżka.

— Chwilę tylko polerze — odparłam, przeciągając się jak kotka po wypiciu mleka.

— Wiec wyniosę naczynia i zaraz do ciebie wracam — powiedziała i usłyszałam, jak pcha stolik na małych kółkach, a jedno z nich wydawało chichy modulowany pisk.

— Jaki mamy dziś dzień? — spytałam, nagle uświadamiając sobie, że to ważne dla mnie.

— Jest niedziela — odparła i wydało mi się, że pisk kółeczka przyspieszył nagle. Zanim zdążyłam spytać o datę, ona wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Zdziwiło mnie, że nie spytałam o to wczoraj. Przecież chciałam wiedzieć, jak długo byłam nieprzytomna, była to dla mnie istotna informacja, dawała, choć w przybliżeniu obraz tego, co się ze mną działo przez ostanie... nie potrafiłam, określi czasu. Czy były to dni, tygodnie?

Zerwałam się z łóżka i podbiegłam do wielkiego okna. Słońce świeciło wysoko nad miastem, na niebie płynęły małe kłęby chmur, dachy domów czerwieniły się pociemniałą dachówką, ulice czyste, chodniki szare i uprzątnięte, ludzie idący w różne strony ubrani byli w lekkie odzienie, drzewa wzdłuż parkanu zieleniły się, a przed jednym z gmachów stojącym na lewo, ozdabiając podjazd, czerwieniły się maki.

— Gdzie podziała się jesienna szarość? — zapytałam na głos i osłupiała wpatrywałam się w obraz letniego miasta, z trudem uświadamiając sobie, że od mojego lotu minęło bardzo dużo czasu.

— Przecież to niemożliwe! — krzyknęłam i odstąpiłam od okna,

jakby obraz za nim było kłamstwem.

Podbiegłam do drzwi i otworzyłam je na oścież. Tym razem paliło się w nim światło, ale nikogo tam nie było. Korytarz ciągnął się daleko i wydawał się nie mieć końca, był jasny jak mój pokój i pomalowany tą samą farbą, ściany bez żadnego wystroju, nie było tu żadnych krzeseł, ani instrumentów, co kilka metrów z sufitu zwisały nagie żarówki dające zimne światło.

— Hej! Jest tam ktoś?!

Przez chwile nasłuchiwałam, a nie doczekawszy się odzewu, ruszyłam przed siebie. Stąpałam boso po idealnie gładkiej i czystej powierzchni, nie czując wcale jej temperatury. Nie była ani za chłodna, ani za ciepła. Ściany wyglądały świeżo, jakby były wczoraj pomalowane i takie samo wrażenie sprawiał sufit. Wszystko, co dotychczas zobaczyłam, było w idealnym stanie, jakby specjalnie przygotowane dla kogoś ważnego. Domyślałam się, że ja byłam tą osobą i zapewne wydzielili cześć jednego z Moskiewskich szpitali tylko ze względu na mnie. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie o moje bezpieczeństwo chodziło, ale o ludzi, którzy mogliby zetknąć się ze mną. Kosmos coś ze mną zrobił niedobrego, byłam tego pewna i zastanawiałam się: czy ja sama jestem dla siebie niebezpieczna? Szłam jakąś chwile, nie napotykając żadnych drzwi, ani okien. Korytarz wydał mi się tunelem i gdyby nie okno w moim pokoju, pomyślałabym, że jestem pod ziemią, w jakimś tajnym kompleksie, gdzieś poza Moskwą, z dala od ludzkich osad.

Przeszłam spory odcinek i nie znalazłam żadnych innych pomieszczeń, a korytarz wciąż wydawał się ciągnąć bez końca. Zaczynałam wątpić, że odnajdę tu kogoś lub znajdę wyjście, gdy nagle mnie olśniło i zadałam sobie pytanie: — Gdzie podziewa się moja pielęgniarka, w jakim pomieszczeniu jest teraz?

— Halo!! Proszę się odezwać!! — krzyknęłam donośniej.

— Czy ktoś mnie słyszy?!!

Wypatrywałam ruchu w jasnym świetle na końcu tunelu, spodziewałam się, że ktoś wreszcie się zainteresuje moimi krzykami, gdy nagle usłyszałam kroki za mną.

Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam uśmiechniętą twarz pielęgniarki.

— Jak?! Jakim sposobem tu jesteś?! — z oburzeniem krzyczałam na nią, czując się oszukaną. — Wytłumacz mi, gdzie byłaś?! W jakim miejscu się ukryłaś?! I gdzie jest wyjście z tego cholernego szpitala?!

Podeszła do mnie wolno, wciąż się uśmiechając życzliwie i robiła to w taki sam sposób, jak moja matka, gdy chciała mnie udobruchać.

— Gadaj natychmiast!! — krzyknęłam na nią, przybierając groźną minę, ale w sercu wiedziałam, że tylko udaję, że nie potrafię się na nią gniewać, że polubiłam ją, choć nie wiedziałam jeszcze z jakiego powodu.

— Wszystko ci niedługo wyjaśnię — mówiła powoli i ze spokojem. — Niedługo dowiesz się wszystkiego, ale zanim to nastąpi, chciałabym ci coś pokazać.

Zwróciła się w stronę mojego pokoju i dała znak dłonią, abym poszła za nią.

— Co to ma znaczyć? Po co te tajemnice? Przecież wiesz, kim jestem, prawda?

— Wiem, moja droga, wiem Katio, kim jesteś — odpowiedziała i ruszyła korytarzem. Nie podobały mi się jej tajemnicze słowa, które zwodziły mnie, byłam tego pewna, ale nie miałam innego wyboru, jak podążyć za nią.

— Przygotowałam ci ubranie, abyśmy mogły wyjść i pospacerować.

— Mogę wyjść? — spytałam, zaskoczona.

— Naturalnie, moja droga. Nie jesteś tu więźniem.

— A zagrożenie? Nie powinnam być w kwarantannie?

— Rozumiem — odpowiedziała i zaraz wyjaśniła. — Wyjdziemy tylko na tyły szpitala, będziemy tylko my. Nikt więcej.

— Czy to rozkaz dowództwa?

— Czy pozwoliliby mi wyprowadzić cię bez ich pozwolenia? — odpowiedziała pytaniem na pytanie. Miała racje. Z pewnością pilnowali nas i nikt bez ich zgody nie mógłby wejść ani wyjść. W milczeniu weszłyśmy do pokoju, a tam na łóżku leżał świeży

mundur, obok bielizna, a na podłodze stały błyszczące oficerki. Zauważyłam też szczotkę do włosów i kilka spinek. Nie miałam zbyt długich włosów, ledwie sięgały mi ramion i z łatwością mogłam je schować pod furażerką, ale to było miłe z jej strony, że pomyślała o tym. Podziękowałam, a ona ukłoniwszy się lekko, zostawiła mnie samą, zapewniając, że poczeka za drzwiami.

Bielizna pachniała mydłem, tak jak lubiłam, mundur był nowy, prosto z magazynu, ale spryskano go delikatnie wodą Czerwona Moskwa, która była zarezerwowana tylko dla żon wysokich oficerów z Moskwy. Miałam okazje raz w życiu powąchać ją i od razu się w nim zakochałam. Buty były z miękkiej skórki, dobrze wyprawionej i solidnie natarte pastą. Byłam szczęśliwa, że mogłam się ubrać w mundur, uczesać włosy, zapleść w krótki warkocz i przyodziać furażerkę. Na powrót byłam oficerem wojsk lotniczych i poczułam się dumna.

Wyszłam na korytarz z podniesionym czołem, gotowa iść krokiem żołnierskim, ale na widok pielęgniarki, jej zaskoczonej miny, trochę wystraszonej, parsknęłam śmiechem z siebie samej. Ona również się roześmiała i przez chwile wydawało mi się, że odnalazłam w niej dawną przyjaciółkę. Wspomniałam Maszę, dziewczynę, z którą latałam w czasie wojny i kochałam jak siostrę, a śmierć zabrała mi ją w ostatnim dniu wojny. Długo płakałam wówczas i nie mogłam się pogodzić z myślą, że już nigdy jej nie zobaczę, nie usłyszę jej głosu, śmiechu, płaczu, że od tej chwili świat już będzie dla mnie inny. Zostałam sama i poczułam, czym jest pustka wokół mnie, i z czasem ją zaakceptowałam. To wówczas podjęłam decyzje, że zostanę w armii. Nie szukałam zemsty, nie o to mi chodziło. Chciałam zostać sama, żyć z boku, bez ludzi i ich spraw. Lotnictwo dało mi taką sposobność i z niej skorzystałam.

Uspokoiwszy się, spojrzałam na pielęgniarkę, a ona na mnie, smutnymi oczyma, jakby usłyszała moje myśli i wiedziała, co dręczy moje serce.

— Wyglądasz, pięknie i dostojnie — powiedziała, składając dłonie na piersi.

— To miłe słowa. Dziękuję — odpowiedziałam, wciąż myśląc o Maszy.

Nie powinna zginąć w tak wielki dniu — powtórzyłam w myślach słowa, które kiedyś wypowiedziałam nad jej grobem. — Nikt nie powinien umierać w chwili, gdy świat raduje się zwycięstwem.

— Choć. — Chwyciła mnie za ramie i pociągnęła w głąb korytarza. Przeszłyśmy zaledwie kilka metrów i zatrzymaliśmy się przy drzwiach, których nie było poprzednio. Spojrzałam pytająco na pielęgniarkę, chciałam zadać proste pytanie, „Jakim czarem one tu się znalazły?", ale ona już je otworzyła i moim oczom ukazał się całkiem inny świat.

— Choć za mną, Katio — zachęcała, wychodząc na zieloną lakę ciągnącą się w dal jak okiem sięgnąć, a jedynym odmiennym elementem w tym ubogim, a jednocześnie pięknym krajobrazie, było kwitnące drzewo jabłoni, samotnie stojące na oddalonym wzgórzu. Zrobiłam krok i stanęłam na miękkiej ziemi porośniętej gęstą, bujną trawą.

— O rety!! — krzyknęłam zachwycona i jednocześnie zdezorientowana.

Moja opiekunka zatrzymała się kilka metrów ode mnie i zwróciła do mnie twarzą.

— Teraz możesz zadać swoje pytania — powiedziała z powagą, przyglądając mi się uważnie.

— Nie jesteśmy w Moskwie? — spytałam, ale byłam już tego pewna. Nie znałam stolicy na tyle dobrze, żeby rozpoznać ją z okna w moim pokoju. Dałam się oszukać, ale w tych okolicznościach nie miało to już znaczenia. Dla pewności spojrzałam za siebie. Oprócz otwartych drzwi osadzonych w ramie nie było tam nic, prócz ciągnącej się po kres zielonej łąki.

— Nie, nie jesteśmy w Moskwie — odpowiedziała spokojnie, a jej oczy zdradzały niepokój. Przez chwilę próbowałam zrozumieć, racjonalnie wytłumaczyć sobie to, co widziały moje oczy, wymyślić jakąkolwiek odpowiedź, nawet nieprawdopodobną, ale w końcu się poddałam.

— Ja... — zająknęłam się przed słowem, które przychodziło mi do głowy. — Ja nie przeżyłam tej podróży. Prawda?

Pielęgniarka podeszła do mnie, wyczuwając, że zaraz się rozpłacze, objęła mnie mocno ramionami. Nogi mi osłabły i upadłyśmy na trawę, a potem łzy popłynęły mi po policzkach, gardło ścisnęło w ogromnym żalu. Nie pocieszała mnie słowami, ale tuliła do siebie i głaskała dłonią po głowie, tak jak to robiła moja matka, gdy się smuciłam. Byłam jej wdzięczna, że jest przy mnie, że tuli mnie do siebie, że nie pozwoliła, bym była sama i gdy pierwsze bolesne łzy uszły ze mnie, gdy zrozumiałam swoje położenie, zadałam sobie pytanie o nią: kim jest? I się zlękłam. Poderwałam się z kolan i odstąpiwszy od niej, spytałam, wciąż łkając:

— Kim jesteś? Co to za miejsce?

Również się podniosła i spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem.

— To jest mój świat, Katio. Jestem w nim już jakiś czas, a teraz i ty w nim jesteś — mówiła lekko drżącym głosem, jakby bała się mojej reakcji na jej słowa.

— A tamto miejsce? — spytałam, wskazując dłonią za siebie, gdzie były drzwi, a wcześniej korytarz, mój pokój i okno z widokiem na miasto. — To wszystko były czary? To miasto i ci ludzie, których widziałam, to było kłamstwo?

— Zrobiłam je dla ciebie, sądziłam, że tak będzie ci łatwiej, przynajmniej na początku.

— Co to znaczy, zrobiłam je dla ciebie? Chcesz mi powiedzieć, że potrafisz zbudować miasto, a potem je zniszczyć w jednej sekundzie?

Uśmiechnęła się, ukrywając zażenowanie.

— Nie, moja droga. Ja tego nie potrafię. Rozumiem twoje zdezorientowanie, wiem, jak jest ci teraz trudno. Wiem, bo sama to kiedyś przechodziłam i pozwól, że kilka rzeczy ci wyjaśnię.

— Słucham — odparłam lekceważącym tonem — jestem martwa, więc powinno być mi wszystko jedno, ale proszę, mów, co masz mi do powiedzenia.

— Po pierwsze, to nie jest prawda, że jesteś martwa.

Spojrzałam na nią, wytrzeszczając oczy. Tego było już za wiele. Świat wokół mnie nie był prawdziwy, ja nie przeżyłam lotu w kosmos, a ona wmawiała mi, że jestem żywą istotą? Chciałam na nią wybuchnąć i ją skrzyczeć, ale nagle przypomniałam sobie swój pierwszy tu posiłek i zrozumiałam, że mogła mówić prawdę. Martwi ludzi nie muszą jeść ani pić, a przynajmniej tak mi podpowiadała logika. Ja miałam głód i pragnienie, a nasyciwszy je, poczułam błogość i senność typową dla mojego organizmu.

— Po drugie, nie jesteśmy na ziemi, choć bardzo ją przypomina, i chyba już zauważyłaś, że nią nie jest.

— Więc co to za miejsce i gdzie ono jest?

— Trudno to wyjaśnić. — Zrobiła zatroskaną minę. — To, gdzie teraz jesteśmy, jest miejscem w kosmosie, zawieszonym w pustce, gdzieś poza naszym układem słonecznym — mówiła wolno, wahając się cały czas, jakby nie była pewna swych słów.

— Więc nadal jestem w kosmosie? — spytałam, odczuwając dziwną ulgę, jakbym chciała, by to była prawda.

— Tak — odpowiedziała z wyraźną ulgą.

— A ty? Kim jesteś?

Wyciągnęła do mnie otwartą dłoń i powiedziała:

— Zaufaj mi. Wiem, co teraz sobie myślisz, ale nie. Nie jestem kosmitką ani nikim w tym rodzaju. Patrz, to moja ręka, jest taka jak twoja. Możesz mnie dotknąć i sama się przekonać. Zrób to, proszę.

Zamilkła, wpatrzona w moje oczy, czekając na mój ruch.

Rzeczywiście pomyślałam, że jest kimś, o kim pisali w książkach, przypomniałam sobie o tych wszystkich wymyślonych niezwykłych historiach: o Marsjanach, ludziach zamieszkujących Plutona i niepoważnych artykułach w gazetach, opisujące tajne bazy na księżycu, gdzie obcy obserwowali nas za pomocą ukrytych teleskopów. Przez krótką chwilę uwierzyłam, że mieli racje, że nie jesteśmy jedynymi we wszechświecie, a stojąca przede mną istota, jest jedną z nich.

Nie wyciągnęłam do niej dłoni, czułam, że nie ma takiej potrzeby,

uwierzyłam jej na słowo, za to przyszło mi na myśl inne pytanie.

— Czy cię porwali? — spytałam, patrząc w jej smutne szare oczy.

— Nie — odpowiedziała, po czym opuściła dłoń, a jej twarz wyrażała zawód. Na moment zwiesiła oczy, ale szybko się ożywiła i dodała. — Ciebie też nie porwano.

— Więc, jak tu się znalazłam? Jak ty się tu znalazłaś?

Spojrzała ponownie na mnie i chwilę się wahała, wpatrując się w moją twarz, jakby szukała we mnie wsparcia. Widziałam po jej minie, że boi się tego, co ma mi do powiedzenia, więc ją zachęciłam.

— Mów, już nic mnie nie zaskoczy. — I jakby potwierdzając swoje słowa, uniosłam dłonie i rozejrzałam się po okolicy, dodając. — Po tym, co już usłyszałam i zobaczyłam, nie ma już we mnie miejsca na niedowiarstwo, więc proszę, opowiedz mi swoją historię.

Uśmiechnęła się krótko, ale moje słowa na niewiele się zdały, wciąż wyglądała na zdenerwowaną.

— Dobrze, Katio — zaczęła, zaciskając nerwowo dłonie. — Kiedyś wyruszyłam w podróż. To była bardzo ważna misja, a jej celem była orbita ziemi. Mój statek był pełen wad, był przy tym bardzo prymitywny, większość przyrządów zawodziła. — Przerwała, dyskretnie spojrzawszy na mnie, po czym uciekła wzrokiem w bok, kontynuując swą opowieść. — Nie miałam zbyt dużo szczęścia. Drugi człon rakiety nie odebrał w porę sygnału i pracował z pełną mocą aż do wyczerpania się paliwa. To samo stało się z trzecim członem i w efekcie osiągnęłam eliptyczną orbitę. — Znowu przerwała, by na chwilę spojrzeć mi w oczy. Zdawała się ostrożna, sprawiała wrażenie, że wie, co ma powiedzieć, ale nie była pewna mojej reakcji.

— Potem przestały działać inne ważne instrumenty, między innymi zacinał się czujnik dwutlenku węgla, co wpłynęło na złą pracę pomp tłoczących tlen do kabiny i w efekcie kilkukrotnie traciłam przytomność. To nie było najgorsze. Mój lot wydłużył się do kilku dni i istniało ryzyko, że nie uda mi się wylądować na ziemi przed dziesiątym dniem.

Wiedziałam, o czym mówi. Mój statek też był zaopatrzony w baterie, tlen i azot pozwalający na dziesięciodniowy lot. Planowano

dwukrotne okrążenie orbity, więc to był zapas bardzo solidny.

— Statek osiągnął zbyt dużą prędkość i wysoką orbitę i niewiele brakowało, aby ją rozerwał. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, personel naziemny zapewniał mnie, że lot przebiega pomyślnie, ale już byłam spisana na straty. Po kilku dniach mój statek zbliżył się do ziemi, miałam nadzieje, że mój pech się skończył, że silniki hamujące zadziałają, i tak się stało, ale nie przewidziałam jednej okoliczności. Nie byłam na kursie umożliwiającym lądowanie na terytorium Związku Radzieckiego i istniało spore ryzyko, że trafię w ręce obcego mocarstwa.

Jej opowieść dziwie kojarzyła mi się z moim lotem i zastanawiałam się, czy była jedną z kolejnych dziewcząt, przygotowywaną w innym kompleksie, która miała powtórzyć mój wyczyn tym razem z powodzeniem. Wiedziałam, że moja porażka nie przerwie kolejnych prób, tak samo, jak nie przerwano startów mimo częstych awarii, utrat wystrzelonych rakiet, a nawet eksplozji na samej platformie startowej. Nie zdradziłam jej moich podejrzeć, byłam ciekawa, co jej się przytrafiło.

— Nie było wyjścia — powiedziała, spuszczając wzrok — musiałam podjąć decyzję, a jedyną słuszną było skierowanie statku na wyższą orbitę, na której zostałabym przez wiele lat, chroniąc tajemnice mojego kraju.

— Zaraz — przerwałam jej — chcesz mi powiedzieć, że odpaliłaś silnik modułu serwisowego, który miał cię wynieść na stabilną orbitę okołoziemską?

Uniosła wzrok i spojrzała na mnie smutno.

— Nie mogłam inaczej — odpowiedziała skruszonym głosem.

— Ale to oznaczałoby, że udusiłabyś się z baraku tlenu, a ty żyjesz, stoisz przede mną, czułam twoją dłoń na moim czole... — wyrzucałam z siebie fakty i nagle przerwałam, zdając sobie sprawę, że mnie spotkał ten sam los. Zaniemówiłam, a ona przyglądała mi się z troską i zdawała się czekać, jakby chciała, abym sam doszła do rozwiązania. Spróbowałam więc odgadnąć, co się stało z nią a tym samym i ze mną. Przez krótką chwilę rozważałam możliwość,

że to tylko sen, lub dziwne urojenie a ja wciąż siedzę przytroczona pasami w kapsule Łabędzia, a śmierć dopiero na mnie czeka. Jednak coś wewnątrz mnie mówiło mi, że tak nie jest, że naprawdę żyję, stoję na zielonej bezkresnej łące, a kobieta, która patrzy na mnie, jest…

— Zaraz! — krzyknęłam, odnajdując w jej słowach błąd. — Skoro poleciałaś po mnie, a tak musiało być, to jakim sposobem jesteś tu pierwsza i, wybacz, że to powiem, czy nie jesteś za stara na ryzykowne loty w kosmos?!

Myślałam, że się obrazi, ale ona uśmiechnęła się życzliwie i odpowiedziała:

— Po prostu, jestem tu znacznie dłużej od ciebie.

— Ale to nie może być prawda! — zaprzeczyłam gwałtownie — ja byłam pierwsza, to ja miałam zdobyć kosmos dla naszego kraju! Nikt wcześniej tego nie próbował! Wiedziałabym, powiedzieliby nam, wszyscy by wiedzieli, nie okłamywaliby nas, to by nie miało sensu! — krzyczałam, czując złość do niej, a jednocześnie coś mi podpowiadało, że ona nie kłamie. Miała smutną minę, spoglądała na mnie z troską, jej oczy wciąż zdradzały niepewność. Wydała mi się kimś, kto przeprowadza trudną rozmowę, przypominała osobę, której postawiono zadanie zwiastowania najgorszej nowiny i chcę być przy tym bardzo taktowna.

— Chcesz odpocząć? — spytała, po chwili milczenia.

— Nie — odpowiedziałam spokojnie, ale poczułam zmęczenie, jakby wspomnienie o odpoczynku przywołało taką potrzebę. Myśli moje biegły jak oszalałe, wpadając wciąż w ślepe zaułki, rozbijały się o mury zbudowane z niepewności, ale nie ustawały w odnalezieniu logicznej odpowiedzi, gdy tymczasem mięśnie ramion, nóg, traciły siłę, głowa zaczęła nieznośnie ciążyć, jakbym nie spała od kilku dni. Miałam ochotę usiąść na bujnej trawie i choć przez kilka sekund odpocząć.

— Dlaczego tak szybko się męczę? — spytałam i nagle zachwiałam się, czując, jak siły szybko mnie opuszczają.

— Przepraszam — odpowiedziała, chwytając mnie pod ramie —

powinniśmy wracać do twojego pokoju.

— Nie chcę tam wracać — odpowiedziałam, przeciwstawiając się jej mocnemu ramieniu. — Możemy tu zostać? — spytałam, patrząc jej w oczy. — Posiedzimy trochę na trawie, zaraz mi przejdzie.

Pomogła mi usiąść na chłodnej, gęstej trawie, która pachniała tak bardzo znajomo, że zamykając oczy, wydało mi się, iż wróciłam do rodzinnego chutoru. Poczułam błogość i lekkość, a potem zapadłam w sen bez marzeń. Czarny i pusty sen.

III

Gdy się obudziłam, leżałam w łóżku przykryta grubym pledem, pod głową miałam poduszkę wypchaną sianem, pod prześcieradłem wyczuwałam słomę, a pomieszczenie nie było salą szpitalną, tylko izbą do złudzenia przypominającą tę, w której mieszkałam wraz z rodzicami.

Zerwałam się z łóżka, nie mogąc uwierzyć w to, co widziałam, zastanawiając się, czy to aby nie sen. Uderzyłam stopą o nogę zydla stojącego tuż obok i głośno krzyknęłam z bólu. To nie był sen, byłam tego pewna, ale nie mogłam zrozumieć, jakim cudem znalazłam się we własnym łóżku z czasów, gdy byłam jeszcze dziewczynką? Okno, wazon z kwiatami na stole, ikona zawieszona na ścianie, podłoga, ściany, kolory i kształty. Wszystko było takie samo, jakie zapamiętałam. Przechadzałam się po izbie i dotykałam każdego przedmiotu, bo nie wierzyłam, że są prawdziwe, ale czułam je pod palcami, ich temperaturę, fakturę, czułam zapach i nie mogłam przekonać siebie, że to nieprawda. To był dom, w którym się urodziłam i mieszkałam, w którym dorastałam i z którego wyruszyłam na wojnę.

Podeszłam do okna i spojrzałam przez nie.

Tliła się we mnie myśl, że to kolejna iluzja, tak jak sala szpitalna i łóżko, w którym się obudziłam, ale cieszyłam się, byłam pełna szczęścia i nagle zapragnęłam, aby ten sen, ta magiczna sztuczka, została już na zawsze, a ja w niej. Pomyślałam, że jeśli miałabym żyć w tym dziwnym świecie, z dala od ludzi, od miast, gdzieś w pustce kosmosu i w samotności, to chciałabym, by był w nim mój dom, a za oknem, ten sam widok jeziora z oddalonym na horyzoncie brzegiem. Znowu pomyślałam o śmierci i zadałam sobie pytanie: — Czy tym właśnie jest? Czy nauka mówiła nieprawdę, a życie po śmierci istnieje i ja właśnie tego doświadczam?

Wiatr marszczył wodę, która srebrzyła się w świetle słońca, złoty piasek brzegu wydawał się gorący i zachęcał, by iść po nim gołymi stopami. Niebo koloru jasnego błękitu, z kilkoma idealnie białymi chmurami mówiło mi, że to idealny dzień na długi spacer i zapragnęłam wybiec z domu, pobiec nad wodę, a potem iść wzdłuż

brzegu tak, jak to robiłam w młodości i nagle ogarnął mnie lęk.

— A co, jeśli na zewnątrz jest inny świat? — powiedziałam szeptem i w tej samej chwili drzwi uchyliły się i stanęła w nich kobieta, którą wczoraj uważałam za pielęgniarkę. Była ubrana w długą czerwoną spódnicę, białą koszulę, na ramionach miała chustę z wyszywanymi kwiatami maków. Włosy zaczesała do tyłu w kok, tak jak to robiły kobiety z Kubania, szyję upiększyła podwójnym sznurem czerwonych korali, a twarz jej była czysta i rumiana jak owoc jabłoni.

— Witaj, moja droga — przywitała mnie z uśmiechem, lecz dłonie zaciskała, zdradzając podenerwowanie.

— To iluzja, prawda? — spytałam, zataczając wzrokiem koło.

Spuściła na chwilę wzrok, a potem, nie odpowiadając podeszła do wielkiego kufra, uniosła ciężkie wieko i wydobyła z niego niebieską spódnicę i białą koszulę ozdobioną haftami.

— To dla ciebie — powiedziała, kładąc na łóżku prosty, a zarazem najpiękniejszy strój, jakikolwiek widziałam w swoim szarym życiu. Ucieszyłam się bardzo, chciałam podskoczyć i pochwycić go w ramiona i szybko przyodziać, ale powstrzymałam się przed wyjawieniem swej radości.

— Dziękuję — odpowiedziałam sucho, myśląc nad jej intencjami. Zbyt dużo krzywd w życiu widziałam, zbyt wielu złych ludzi poznałam, aby uwierzyć w szczęście, jakim obdarowywała mnie i przeczuwałam, że będę musiała zapłacić za jej dobroć. Przyglądałam się jej bacznie, a gdy nasze oczy spotkały się, stała się nagle poważna jak ja i wiedziałam już, że nie pomyliłam się, a ona zrozumiała, że dłużej nie może udawać przede mną.

— Kim jesteś? — spytałam, odsuwając się pod ścianę z oknem, jakbym obawiała się, że jej odpowiedź może mnie ugodzić niczym ostrze szabli.

Usiadła na krawędzi łóżka i spuściła wzrok. Milczała, wpatrując się w podłogę, a ja patrzyłam na nią, zastanawiając się, czy odpowie mi prawdą, czy fałszem, czy zdołam odróżnić jedno od drugiego, a gdy już będzie po wszystkim, czy będę umiała pogodzić się

z nieuniknionym, które wydawało mi się poza moją wolą.

— Urodziłam się w chutorze, na Kubaniu — zaczęła mówić, wciąż wpatrując się w podłogę. — Mój ojciec był rybakiem, matka zajmowała się domem: plotła kosze, szyła sieci i uprawiała ogródek warzywny.

Nie miałam rodzeństwa, za to dobrych sąsiadów, z którymi bawiłam się całymi dniami. Gdy trochę podrosłam, mama nauczyła mnie dbać o dom, obejście i warzywniak. Ojciec niewiele zajmował się mną, był małomówny, rzadko podnosił głos, pił tylko przy wizytach gości w naszym chutorze, a to zdarzało się rzadko. Żyliśmy z dala od wielkich miast, o których nie miałam pojęcia i wydawało mi się, że te kilka domów nad wielkim jeziorem i ledwie garstka ludzi mieszkających w nich, to cały świat, a ci, którzy mieszkali po drugiej stronie wody, są ludźmi z innego kraju, co tylko z grzeczności ubierali się tak jak my i mówili w tym samym co my języku. Nie często nas odwiedzali, a i nasi mężczyźni rzadko kierowali łodzie w ich stronę, więc uważałam ich za obcych.

Uniosła głowę i przelotnie spojrzała mi w twarz, jakby chciała sprawdzić, czy ją słucham z uwagą, a potem rozejrzała się po izbie, jej wzrok zatrzymał się na ikonie przedstawiającą matkę z dziecięciem, chwilę się mu przyglądała i na powrót zwiesiła głowę.

— Ojciec i matka byli niepiśmienni i nie przykładali uwagi do mojej edukacji. Nie rozumieli potrzeby uczenia się, nie dostrzegali zmian zachodzących w świecie i potrzeby znajomości pisma. Na szczęście żyła w chutorze kobieta wykształcona i za zgodą matki, uczyła mnie czytać i pisać, i zanim nastała wojna, umiałam rachować, znałam geometrie, wiedziałam o fizyce i przyrodzie tyle samo co moje koleżanki z wielkich miast...

Kobieta nadal opowiadała, a ja słuchając jej z rosnącym niepokojem, odkrywałam, że opowiada o moim życiu, więc przerwałam jej ostro i gniewnie:

— Kim jesteś do cholery?!! Dlaczego opowiadasz mi moje życie?!! Dlaczego mówisz o nim jak o swoim życiu?!!

Spojrzała na mnie z lękiem.

— Mów!! — rozkazałam — Kto ty jesteś?!!

Kobieta wstała i zwróciła się do mnie twarzą, wciąż zaciskając dłonie w identyczny sposób, jak robiła to moja matka, gdy miała do zakomunikowania coś bardzo ważnego i zarazem nieprzyjemnego.

Przyjrzałam się jej jeszcze raz i dokładniej. Od samego początku przypominała mi kogoś, kogo znałam, czułam do niej sympatie jak do kogoś bliskiego, w głowie błądziła mi niepokojąca myśl, że to duch mojej matki, ale nie wierzyłam w życie po śmierci, więc nie przyjmowałam takiej możliwości.

— Znam cię, prawda? — spytałam spokojnie. — Spotkałyśmy się tam na ziemi, tak?

Milczała, patrząc na mnie z bojaźnią i troską, jaką matka obdarza dziecko, któremu trzeba odmówić słodyczy, lub objawić złą nowinę.

— Proszę. Powiedz mi prawdę. Powiedz mi, kim jesteś i dlaczego tu jesteśmy?

— Prawda nie jest łatwa — odpowiedziała, spuszczając na chwilę wzrok.

— Spróbuj — prosiłam — postaraj się, a ja obiecuję zrozumieć twoje słowa. Widzę, że jesteś ostrożna i nie chcesz mnie zranić, ale ja już umarłam, przynajmniej tak mi się wydaję, i już nie możesz mi zrobić krzywdy.

Podeszłam do niej i położyłam dłoń na jej splecionych dłoniach. Poczułam, jak bardzo jest spięta, drżała i pomyślałam, że prawda jest straszna i bardzo bolesna, że jej słowa mogą mnie zranić, a nawet zabić. A potem przyszło mi do głowy, że ona również to przeszła, obudziła się w tym dziwnym miejscu i tak samo, jak ja próbowała zrozumieć.

— Opowiadałaś, że poleciałaś w kosmos i z niego nie wróciłaś — zaczęłam, chcąc jej ułatwić zadanie. — Co się stało potem?

— Chyba straciłam świadomość. Nie jestem pewna, czy z braku powietrza, czy z innej przyczyny — mówiła bez emocji, jakby nie o swoich wspomnieniach, lub były bardzo odległe. — Nie pamiętam nic, co nastąpiło później. Była tylko pusta czarna

przestrzeń, która zdawała się nie mieć początku ani końca. Otaczała mnie nieskazitelna cisza, a potem usłyszałam głos...

Jej dłonie zacisnęły się mocniej, zdradzając ból płynący z jej wspomnień.

— Proszę, mów dalej — poprosiłam, choć czułam, że nie powinnam jej zmuszać.

— Usłyszałam mężczyznę, wciąż będąc pogrążona w ciemnościach, nie potrafiłam go zlokalizować, więc próbowałam go dosięgnąć dłonią, bo wydawało mi się, że jest tuż przy mnie, że nachyla się nade mną, ale go nie dosięgłam.

— Czy to był lekarz? — spytałam, przypominając sobie swoje przebudzenie i myśli, jakie wówczas miałam.

— Tak sądziłam, ale gdy moje oczy przyzwyczaiły się do światła, gdy mogłam rozpoznać kształty i barwy, jego już nie było...

— Ale wrócił? — wpadłam jej w słowa, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Pokręciła przecząco głową.

— Jak to, nie wrócił? — spytałam, widząc, że moja towarzyszka zapadła w zadumę, myślami zapewne powróciwszy do tamtych chwil. Uniosła głowę i tym razem spojrzała mi w oczy.

— Nie chodzi o niego, ale o mnie — odrzekła, z grymasem bólu na twarzy, po czym pojedyncza łza spłynęła jej po policzku i oderwawszy się od brody, splamiła biały kołnierzyk.

— Nie domyślasz się? — spytała, łamiącym głosem. — Nie dostrzegasz we mnie...?

— Wiem — odrzekłam i zrobiłam krok w jej stronę. — Od paru minut wiem już na pewno, ale czułam to od czasu, gdy zobaczyłam cię pierwszy raz.

Załkała, uśmiechnąwszy się radośnie, a kolejna łza spłynęła po policzku, znikając w kąciku ust.

— Widziałam w tobie kogoś bliskiego — mówiłam, odczuwając ulgę, jakbym została zwolniona z przysięgi milczenia i mogła wreszcie wyjawić tkwiącą we mnie tajemnice. — Wydawało mi się, że możesz być kimś z mojej rodziny, kimś bardzo bliskim... nawet

moją matką, ale… nie potrafiłam dopuścić myśli, że…

— Że jestem tobą… a ty jesteś mną? — dokończyła za mnie, a ja nagle pozbyłam się obaw, zrzuciłam kajdany niewiary i zapragnęłam objąć ją ramionami i przytulić do serca. Byłam jednak jak kamienny posąg, nauczona, że czułość to słabość, a miłość odbiera wolę, że rodzina to nie matka, lecz ojczyzna. Ojczyzny nie można przytulić. Stałam, nie mogąc przełamać dziwnego poczucia, że jeśli to zrobię, jeśli podejdę pierwsza to, coś utracę, coś niewidzialnego, co tylko jest w moim umyśle i tkwi w nim mocno zakorzenione, a jednocześnie wiedziałam, że to nie pochodzi ode mnie, nie jest moją naturą, a tylko dawno rzuconym nasionem, który zakorzenił się we mnie i urósł w siłę. Sama nie potrafiłam tego zwalczyć i gdyby nie druga ja, która podeszła do mnie i przytuliła, nie poznałabym więzi między ludźmi i tkwiącej w niej mocy.

— Tęskniłam — wyznała, wtulając się w moją szyję. — Tak bardzo czekałam na ciebie.

I rozpłakałyśmy się, i nie przestając tulić do siebie, upadłyśmy na kolana, i tak trwałyśmy, szlochając i śmiejąc się, przez długi czas. Nie miałam ochoty przestać płakać i się radować, wydawało mi się, że mogłabym w jej ramionach umrzeć, już ostatecznie, i byłaby to najszczęśliwsza chwila w moim życiu.

— Musimy wstać — powiedziała, ale ja nie ruszyłam się, byłam jak małe dziecko, które tylko siłą można wyrwać matce z ramion.

— Muszę ci coś pokazać, mam ci tyle do opowiedzenia — nalegała, próbując, podnieś nas obie. Zlękłam się jej słów, bo zabrzmiały, jakbyśmy zaraz miały się rozstać.

— Co to znaczy? — spytałam, wycierając dłońmi mokre policzki. — Czy chcesz mnie opuścić? Teraz jak… — nie umiałam przełożyć myśli na słowa. Jak zwrócić się do siebie samej, czując zaspokojoną tęsknotę i wielką radość, że nie muszę być sama w tym dziwnym świecie? Jak powiedzieć jej, że jest mi najważniejszą osobą, że jest mi matką i ojcem, sąsiadką i chłopcem mieszkającym po drugiej stronie jeziora? Jak wymawiać jej imię, tej, która jest mną, a zarazem kimś innym?

— Wiem — powiedziała, zaglądając mi w oczy. — Też to czuję, też chcę być z tobą do końca, ale nie możemy.

Spojrzałam na nią z bólem w sercu.

Jak mogła tak powiedzieć? — zastanawiałam się — dlaczego mówi o końcu, czyż nie pokonałyśmy śmierci? Czy nie wymknęłyśmy się prawom fizyki, uciekając z ziemskiego świata? Czy nie widzi, że ziemia podlega innym prawom niż kosmos?

— Wstańmy. Chcę ci coś pokazać.

Usłuchałam jej.

Podeszła do okna przy kuchni i zabrała coś z parapetu, a potem położyła to delikatnie na stole.

— Pamiętasz? To naszyjnik naszej matki.

Przyjrzałam się mu. Był dziwnie splatany, cześć łańcuszka była zmiażdżona, tam, gdzie się przecinał w kilku miejscach ogniwa, były zespolone ze sobą, jakby stopiła je gorączka. Krucyfiks dawniej zdobiony dłutem w detale był zwykłą blaszką z naniesionym rysunkiem jego dawnego kształtu.

— Gdy matka wychodziła na dłużej z domu, podkradałyśmy go. Pamiętasz? Ubierałyśmy najlepszą koszulę i tańczyłyśmy, trzymając to cudo w dłoni, wyobrażałyśmy sobie, że jesteśmy wielką księżniczką.

— A potem — dopowiedziałam za nią — odkładałam go na miejsce, zawsze lękając się, że matka się dowie i mnie zleje — mówiłam, wciąż wpatrując się w naszyjnik. — Czy ty go zrobiłaś? I ten dom?

— Nie moja droga. To nie ja, a ten niedoskonały naszyjnik jest tego dowodem.

— Znowu nie rozumiem. Mówisz zagadkami. Czemu? Boisz się, że ci nie uwierzę? Sprawdzasz, ile mi możesz powiedzieć? Mówiłam ci. Już nic mnie nie zdziwi w tym zaczarowanym świecie.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie.

— Chyba masz racje — odrzekła. — Obawiam się twojej reakcji i chociaż wiem, jak zareagujesz, albo raczej wiem, jak ja bym zareagowała, to boję się, że uznasz mnie za wariatkę, albo co gorsza,

że sama zwariowałaś, a to wszystko jest tylko urojeniem chorego umysłu.

— Opowiadaj — powiedziałam krótko, po czym usiadłyśmy na krawędzi łóżka.

— Ten głos, o którym ci opowiadałam — zaczęła, zerknąwszy na mnie kątem oka. — To jakaś Istota, a raczej wiele Istot. To ona mnie… nas uratowały. Nie pytaj w jaki sposób, bo tego nie wiem i pojąć nie potrafię.

— Jak już mówiłam, obudziłam się w białym pokoju. Sama. Ślepa jak kura w nocy, a potem usłyszałam głos. Nie mówił tak jak nasi, zniekształcał niektóre słowa, czasami je urywał, niektóre z nich mówił w dawno zapomnianym dialekcie. Byłam pewna, że wpadłam w ręce obcego mocarstwa, spodziewałam się tortur, spodziewałam się wielogodzinnych przesłuchań, głodzenia, bezsennych nocy i bicia. Przygotowywałam się na cierpienia, ale gdy odzyskałam wzrok, nikogo przy mnie nie było. Wciąż byłam ubrana w kombinezon i przywiązana do fotela z kapsuły, ale jej samej nie było. Wyobraź sobie pokój, w którym ty się ocknęłaś, tylko pusty, bez okna i bez drzwi. Pomyślałam, że jestem w pułapce, w jakiejś zamurowanej celi, z której nie uda mi się wydostać. A potem pojawił się korytarz, w miejscu, w którym go wcześniej nie było. Zastanawiałam się tylko przez sekundę, a potem odpięłam klamry pasów, zeskoczyłam z fotela i pobiegłam nim, szukając wyjścia z budowli.

— I tak jak ja, nie znalazłaś go?

— Dokładnie tak było.

— Domyślam się, że jakoś udało ci się wydostać?

— Tak. Oczywiście, ale zanim to nastąpiło, głos znowu się odezwał… — zawahała się i spojrzała na mnie niepewnie.

— Mów, proszę, bo umieram z ciekawości — ponagliłam ją.

— On się nie pojawił, tylko usłyszałam go, jakby był w mojej głowie. Powiedział mi, żebym się nie lękała, że nic mi nie grozi. Próbował mnie uspokoić, a ja krzyczałam w pustym korytarzu, żądając, aby mnie uwolnił.

— I zrobił to, prawda?

— Tak, ale to nie było dla mnie takie oczywiste.

— To znaczy?

— Wszystko nagle zniknęło i pojawiłam się, leżąc na bezkresnej łące. Było jasno jak za dnia, nadal byłam ubrana w pomarańczowy kombinezon, ale już bez hełmu. Pomyślałam, że czymś mnie odurzyli i przenieśli na zewnątrz. Podejrzewałam, że to próba zmylenia mnie, że chcą mnie przekonać do czegoś, lub dać mi złudną nadzieję. Wstałam i ruszyłam biegiem przed siebie. Chciałam uciec jak najdalej, znaleźć jakieś schronienie, odwlec chwilę, gdy mnie ponownie złapią i dać sobie czas na przemyślenie swojej sytuacji. Pędziłam ile sił w nogach, szukając punktu odniesienia: wzniesienia, drzewa lub krzewu, czegoś charakterystycznego, co pomogłoby mi zachować kierunek, ale nic takiego nie dostrzegłam. Była tylko równa jak stół łąka, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, a nad nią błękitne niebo bez żadnych chmur i bez słońca. Po kilkunastu minutach, odziana w krępujący ruchy kombinezon, padłam z wyczerpania na kolana. Spojrzałam za siebie, spodziewając się pościgu, ale go nie dostrzegłam. Rozejrzałam się na boki i tam również niczego nie zauważyłam. Zdjęłam wierzchni pomarańczowy kombinezon, poluźniłam wiązania na piersi i ruszyłam dalej, starając się iść prosto. Szybko zapadł zmrok, gwiazdy z wolna zapalały się i gdy było już bardzo ciemno, zatrzymałam się i spojrzałam w górę. Chciałam określić w przybliżeniu swoją pozycję, ale nie mogłam odnaleźć Gwiazdy Polarnej, nie rozpoznałam też układu gwiazd. Tuż po zmierzchu powinnam dostrzec Jowisz i Wenus, ale nie odnalazłam ich, tak samo, jak później Marsa. Zatrzymałam się i zaczęłam się zastanawiać, gdzie jestem, bo już wiedziałam, że to nie ziemskie niebo oglądałam. Próbowałam zrozumieć, znaleźć logiczne wytłumaczenie i je znalazłam. Doszłam do wniosku, że właśnie umieram, a to, co się dzieje ze mną, co właśnie przeżywam, to tylko urojenia gasnącego umysłu. Usiadłam, krzyżując nogi i postanowiłam poddać się i poczekać na śmierć. Ona jednak nie nadchodziła. Dręczyły mnie niespokojne myśli, rezygnowałam z życia, to pragnęłam je zachować. Uczucia

mieszały się we mnie, zlewały w bolesną mieszankę, aż w końcu postanowiłam to przerwać i zaczęłam krzyczeć, wyć jak zwierzę, ryczeć jak opętana i wtedy ten ktoś ulitował się nade mną i pozwolił zasnąć.

— Katio — zwróciłam się do niej, kładąc rękę na jej zaciśniętej dłoni. — Bardzo ci dziękuję, że byłaś przy mnie od samego początku. Ty miałaś o wiele trudniej i nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak bardzo byłaś przerażona.

Zwiesiła głowę i przez chwilę milczała, jakby zastanawiała się nad moimi słowami, a potem spojrzała na mnie i ożywionym głosem powiedziała:

— Gdy zobaczyłam cię, tuż po twoim przebudzeniu, tam w pokoju, to zrozumiałam, że to, co przechodziłyśmy… ból… niespokojne myśli… chęć ucieczki, rezygnacja z walki, to był proces, który ja bym nazwała: ostatnim zrywem za życiem. Bo widzisz, nikt nie chce umierać naprawdę, nawet jak się poddaje, gdy nie widzi już wyjścia, to wciąż tkwi w nim nadzieja, że wymknie się w ostatniej chwili i przeżyje.

— Tak jak wtedy nad Berlinem — dodałam, mimowolnie zaciskając dłoń na jej dłoni.

— Jak nad Berlinem — powtórzyła, zapewne tak jak ja przywołując wspomnienia z lotu, w którym zginęła nasza nawigatorka i jedyna przyjaciółka.

Przez chwilę rozpamiętywałam tamten dzień. Ostatni nocny lot, już po kapitulacji wroga. Ktoś nie poddał się, nie usłuchał rozkazu, lub nie pogodził się z klęską i wystrzelił w naszym kierunku kilka pocisków. Jeden rozerwał się kilkanaście metrów od nas. Odłamki rozpruły gondole silnika, który natychmiast stanął w płomieniach, wybiły otwór w cienkim poszyciu kabiny, jeden ugodził Masze w głowę. Krew zbryzgała przednią szybę i przyrządy, a ja krzyczałam do niej, żądałam podania kierunku do najbliższego lotniska, nie dostrzegłam, że już nie może mi odpowiedzieć.

Tysięczna łza spłynęła mi po policzku, a ja jej nawet nie poczułam, tylko zobaczyłam, jak spada na podłogę i tam zamienia się w grudkę

błota.

— Obudziłam się za dnia … — przerwała moje myśli, jakby wcale ją tamto wspomnienie nie dotyczyło, jakby nie było dla niej ważne i wówczas pomyślałam, że nie jesteśmy takie same. Ona była starsza, więcej przeżyła, więcej widziała, a tamte czasy zostawiła za sobą, i już ich nie rozpamiętywała tak jak ja.

— … Leżałam na trawie tak jak poprzednio, ale tym razem w moim otoczeniu było coś jeszcze. Nieopodal mnie, przechylony na jedną stronę, lekko zagłębiony w ziemie, spoczywał Łabędź. Kapsuła pokryta była drobnym szarym pyłem, który zlatywał jak proch, gdy się go dotknęło. Moduł serwisowy, wciąż przypięty stalowymi pasami, wyglądał, jakby przeszedł przez piec hutniczy. Kable, zbiorniki z paliwem i tlenem były w nienaruszonym stanie, tak samo, jak anteny z wyjątkiem tych, które ugrzęzły w ziemi. Żaden z trzech włazów nie był otwarty. Spróbowałam zajrzeć do wnętrza przez iluminator, ale było tam zbyt ciemno i nic nie dostrzegłam. Domyśliłam się, czy raczej przeczuwałam, że w środku jest martwy człowiek. Jeszcze nie dopuszczałam do siebie myśli, że to mój statek i zarazem mój grób. Zaprzeczałam temu, co widziały moje oczy i czego dotykały moje dłonie. Obchodziłam statek, szukając dowodu mistyfikacji: sprawdzałam każdy centymetr powłoki, każdy kabel, każdą śrubę, każdą oznaczoną symbolem cześć i nie znalazłam żadnego błędu. Zrezygnowana padłam na ziemie i nie widząc innego rozwiązania, uznałam, że porwały mnie pozaziemskie Istoty. To wydało mi się logiczne. Nie rozpoznawałam gwiazd na niebie, nie odnalazłam żadnej z planet układu słonecznego, nie mogłam dostrzec naszej gwiazdy dziennej ani księżyca. Oddychałam, czułam głód i pragnienie, więc nie mogłam być martwa, ani też śnić. Zrozumiałam też, że nie mogę uciec, a ta łąka, ta obca planeta, jest moim więzieniem. Wtedy na głos wypowiedziałam pytanie, spytałam, krzycząc w niebo:

— Czego chcecie?!!

Odpowiedział mi, tak jak poprzednio, nie ujawniając się:

„Chcemy, abyś żyła”.

— Dlaczego?! — spytałam. — Dlaczego to dla was takie ważne?!

„Bo jesteś jedyna”.

— Co chciał przez to powiedzieć? — weszłam jej w wypowiedź. — Co miał na myśli? Czy chodziło mu o pierwszy lot człowieka?

— Wtedy tak samo pomyślałam. Sądziłam, że ludzkość złamała jakiś nieznany naszej cywilizacji zakaz, a ja trafiłam do kosmicznego więzienia. Próbowałam więc negocjować, dowiedzieć się, jakie ciążą na mnie przewinienia, zażądałam kontaktu z moim rządem, ale on odrzekł, że to nie jest możliwe i powtórzył jak poprzednio:

„Bo jesteś jedyna”.

— Spytałam. Co to znaczy? I wtem nagle stała się noc, od razu rozpoznałam gwiazdozbiory, dostrzegłam ceglasty kolor marsa, a przede wszystkim pojawił się ziemski księżyc. Z początku ucieszyłam się, myślałam, że jestem na ziemi, ale nasz satelita nie patrzył na mnie znaną człowiekowi od milionów lat twarzą, lecz spoglądał gdzieś w bok, w kierunku skąd padały na niego słoneczne promienie. Dostrzegłam pas ogromnych skał przetaczających się nad widnokręgiem. Były ogromne, jak miasta, i było ich miliony, a wokół nich miliardy mniejszych i tryliony drobnych jak pył. Patrzyłam na ziemie, a raczej na to, co z niej pozostało i …

— O czym ty mówisz?!!! — krzyknęłam, czując w sobie sprzeciw i zarazem gniew, ale ona spokojnie dokończyła swą myśl:

— … wtedy zrozumiałam jego słowa.

— Co ty pleciesz?! Jak ziemia może przestać istnieć?! Jak to możliwe?!

Spojrzała na mnie smutno i jak poprzednio, z troską.

— Ziemia nie istnieje od dawna, zniszczona przez kosmiczny kataklizm, a my jesteśmy ostaniami jej potomkami.

— To bzdura?! Nie wierzę w to! To nie mogło się wydarzyć! Nie!!

— Czyżby? — spokojnym głosem spytała, a ja zaczęłam zastanawiać się, czy to nie koszmar senny.

— Chcę to zobaczyć! Chcę dowodu! Musisz mnie przekonać, że to wszystko jest prawdą!

— Czy nie dziwi cię, dlaczego teraz nie siedzisz w kapsule, która

krąży w wiecznej podróży gdzieś po orbicie ziemskiej?

— Chcę zobaczyć ziemie — mówiłam, już uspokoiwszy się — chcę się przekonać tak jak ty. Proszę.

Zamknęła na moment oczy, wyglądała, jakby medytowała, ale ja domyślałam się, że rozmawia z kimś, przekonuje, aby pokazał mi to, co sama zobaczyła.

— Chcą wiedzieć, dlaczego nie wierzysz moim słowom? — powiedziała nagle, nie otwierając oczu.

— Powiedz im, że uwierzę dopiero, jak sama zobaczę — odparłam, nie zastanawiając się zbytnio.

Druga ja, długo trwała w zadumie, nie poruszała się przy tym, ledwo co mogłam dostrzec, jak oddycha i wyobraziłam sobie, że komunikacja z obcymi Istotami musi być trudna. Zastanawiałam się też, dlaczego nie komunikują się ze mną, skoro mogą to robić z nią, i to od samego początku. Nie chciałam wyciągać zbyt pochopnych wniosków, ale czułam się zepchniętą na bok, jakbym była mniej ważna.

W końcu otworzyła oczy, spojrzała na mnie bez uśmiechu i odrzekła:

— Dobrze. Dziś w nocy zobaczysz, to co zostało z ziemi, ale czy to ci wystarczy za dowód?

— Tak — odparłam szybko i bez namysłu. Jednak po chwili poczułam niepewność. A jeśli pokażą mi nieprawdziwy obraz, tak samo, jak zrobili to z widokiem z okna na centrum Moskwy? Co, jeśli okłamali drugą mnie, a ziemia wciąż istnieje i żyją na niej ludzie? Czy istniała wówczas szansa powrotu?

— Nie ma stąd ucieczki, prawda? — spytałam, przeczuwając odpowiedź.

Skinęła głową.

— Więc jaki w tym cel?

— Już ci mówiłam. Bo jesteśmy ostatnie. Zostałyśmy tylko my dwie.

— I mam umrzeć na tym pustkowiu, w tym domku? Wpierw ty, a potem, po kilkunastu latach, ja?

— Nie, moja droga. Nie taki jest ich zamiar.

— Więc, jaki mają dla nas plan? Jaki pożytek mogą mieć z gatunku, który ledwie oderwał się od ziemi?

Starsza ja westchnęła ciężko, zgarbiła się, jakby kto jej ciężar na barki położył.

— To moja wina — odrzekła po chwili milczenia. — Zmarnowałam daną mi szanse, a gdy zmieniłam zdanie, było już za późno.

— Co to było? O jakiej szansie mówisz?

— Odnaleźli mój statek i sprawili, że znowu żyłam. Dali mi odzienie, żywność, wodę i dom. Dawali wszystko, co tylko chciałam: jeziora, łąki, lasy, a nawet miasta pełne ludzi. Co tylko zapragnęłam, o czymkolwiek pomyślałam, mogłam to posiąść. Mogłam spacerować leśną drogą, pływać w oceanie, spacerować wśród ludzi ulicami miast, słuchać ich rozmów. Niczego mi nie brakowało, żadna choroba mi nie groziła, nie traciłam sił mimo ulatującego czasu. To wszystko mnie zmyliło.

Przerwała, nabrała głębokiego oddechu, jakby szykowała się do skoku w głębinę jeziora. Zrozumiałam, że nie jest jej łatwo, więc w milczeniu poczekałam, aż zacznie mówić dalej.

— Na ziemi nigdy nie odczuwałam samotności, nie tęskniłam za towarzystwem mężczyzn, towarzyszek i wystarczyło mi tylko od czasu do czasu na nich popatrzeć z daleka, czasami zamienić kilka słów, uśmiechnąć się do przechodnia, wyłapać ciekawskie spojrzenie. Żyłam tu jak w baśniowym świecie i zapomniałam o tamtej ziemi, o ludziach, których pamiętałam i tych mi nieznanych. Przyszedł jednak czas, gdy zrozumiałam swój błąd i poprosiłam o drugą szansę.

— Nie rozumiem. Wyjaśnij, proszę?

Spojrzała mi w oczy i powiedziała drżącym z emocji głosem:

— Chcieli, abym stała się matką ludzi, abym zasiała życie na innej planecie, a ja odmówiłam.

— O czym ty mówisz? W jaki niby sposób? Przecież...

— Tak, wiem — przerwała mi. — Jestem... byłam jedynym człowiekiem, ale to im w zupełności wystarczyło, aby stworzyć nowy

świat na podobieństwo nieistniejącej ziemi.

— Zaraz. Powiedziałaś... Czy dobrze zrozumiałam? Oni zrobili nową ziemię?

— Tak — odpowiedziała, uśmiechając się do mnie radośnie.

— Muszę ją zobaczyć! — krzyknęłam jak dziecko, które zobaczyło wielki karton kryjący w sobie długo oczekiwany prezent.

— Zobaczysz i zakochasz się w nim tak jak ja.

Wstałam i chwyciwszy ubrania złożone na stoliku, zaczęłam naprędce się ubierać.

— Co ty robisz?

— Chcę go zobaczyć — odparłam, zapinając guziki munduru.

Druga ja uśmiechnęła się, a potem wybiegłyśmy z domu.

— Spójrz w górę — powiedziała, wskazując ręką niebo. Zobaczyłam ogromną i pełną barw planetę, spowitą białymi chmurami, między którymi widać było morza, oceany, jeziora i kontynenty pełne lasów, szczytów górskich pokrytych białym śniegiem, żółtawych połaci przypominających południowe rejony ojczystego kraju.

— Jest taka piękna! — krzyknęłam z zachwytu. — Czy możemy się tam udać? Czy dadzą nam statek, abyśmy mogły tam polecieć?

— Możemy, ale nie potrzebny nam statek — odrzekła druga ja.

Przez chwilę próbowałam zrozumieć, w jaki sposób można pokonać pustkę kosmosu bez odpowiedniego pojazdu, ale zrezygnowałam, uświadomiwszy sobie, że Istoty, które potrafią stworzyć świat pełny życia, z pewnością znają inne sposoby podróży, niż statkiem kosmicznym.

— Choć, moja droga. — Pociągnęła mnie za ramie. — Zanim się tam udamy, musisz coś zobaczyć.

Zaprowadziła mnie na tył domu, gdzie jak na dawniej ziemi, matka pielęgnowała mały warzywniak. Tak jak wtenczas rosły tu rabatki marchwi, kapusty, kartofli, wokół drewnianych tyczek wiły się łodygi fasoli i grochu.

— Zerwij, proszę — poleciła, wskazując na pnącze.

Zrobiłam to i podejrzewając tajemnice, przyjrzałam się roślinie

z bliska. Mogłabym przysiąc, że jest prawdziwa, a jednak, po krótkiej chwili, roślina w mojej dłoni rozmyła się, stała się przezroczysta i zniknęła.

— Co to za czary? — spytałam, nie będąc już zbytnio zaskoczona.

— Spójrz. — Wskazała palcem miejsce, skąd urwałam łodygę.

Roślina była nienaruszona, jakbym wcale jej nie dotykała.

— Ale ja dotykałam jej, czułam jej zapach — zaprotestowałam, patrząc pytająco na Katię.

— Tu nic nie jest prawdziwe — odrzekła z powagą.

— A my?

— My tak, ale nie ten dom, szpital, miasto, a nawet ludzie spacerujący po ulicach. To wszystko tylko obrazy z mojej… naszej pamięci.

— To te Istoty robią?

— Tak, ale nie zawsze im się to udaje i popełniają błędy.

— To znaczy?

— Wszystko, co tu widzisz: rodzinny dom, jezioro, trawa na łące i ten warzywniak są tylko obrazami z mojej pamięci. Poprosiłam ich o to, bo nie chciałam żyć w pustym pokoju, potrzebowałam swobody i miejsca, gdzie czułabym się szczęśliwa, gdzie mogłabym zapomnieć o tym, co się stało. Niestety, obrazy w ludzkiej pamięci są dwuwymiarowe, i tak też widziały je Istoty, więc dom był jak kartonowy domek dla lalek, trawa nie różniła się niczym od pomalowanej na zielony kolor betonowej płyty, kwiaty upodobniały się do wycinanek z fotografii. Dużo czasu zajęło mi wytłumaczenie im, jak powinno wyglądać drzewo, jaki kształt ma płatek róży, jak zbudowane jest łóżko, jak miękka powinna być poduszka.

Dotknęła mojego munduru i dodała:

— To też zajęło mi trochę czasu, ale warto było, prawda?

— Chcesz powiedzieć, że moje ubranie nie jest prawdziwe?

— Tak, moja droga. Możesz je podrzeć na nitki, a ono zaraz się stanie tym, czym było. Możesz zniszczyć ten dom, a on zaraz powstanie z ruiny i śladu na nim nie zauważysz po swoim działaniu.

— Ale czemu się na to zgodziłaś? Nie rozumiem, dlaczego postanowiłaś zamieszkać w tym nieprawdziwym świecie?

— Gdy zrozumiałam, że nie mam dokąd wracać, a nie chciałam przyjąć ich propozycji, postanowiłam zostać tutaj. Z pomocą Istot urządziłam sobie świat, jaki mi odpowiadał, zaakceptowałam jego niedoskonałość i z czasem przestałam zwracać uwagę na takie detale, jak nigdy niepsujące się obuwie, czy zawsze tak samo wyglądające drzewa, obok których spacerowałam prawie każdego dnia. Zapominałam powoli, ale zostawiłam sobie jedną rzecz, która miała mi na to nie pozwolić.

— Naszyjnik mamy! — wypaliłam, przypominając sobie jego płaski, niedoskonały kształt.

— Tak, moja droga. On jedyny przypomina mi, że to nie jest prawdziwy świat.

Zwróciłam oczy w kierunku planety.

— A ona? — spytałam.

— Pytasz, czy są tam prawdziwe oceany i lądy?

Skinęłam głową i odpowiedziała:

— Jadłaś owoce z tamtego świata.

— Nie rozpoznałam ich. Co to było?

— Nie mają nazwy i nie przypominają tych z ziemi.

— Jak to? Nie ty decydowałaś, jak ma wyglądać tamten świat?

— Nie — odrzekła krótko, zawahała się, po czym dodała:

— Ani Istoty, które nas uratowały.

— Wiec, w jaki sposób powstało tam życie, jak wyrosły kwiaty i drzewa owocowe?

— Oni tylko przeobraziły pustą jałową planetę w nadającą się do życia, jak rolnik przygotowali pole, a nasionami było nasze…

— Dokończ, proszę.

— … ciało spoczywające w Łabędziu.

Oderwałam wzrok od planety i spojrzałam na nią pytająco. Zauważyła, że nie rozumiem jej słów. Domyśliła się, że zastanawiam się: jakim sposobem martwe ciało dało życie całej planecie i wyjaśniła mi to, jak tylko potrafiła najprościej.

Dowiedziałam się o istnieniu komórek w naszym ciele, których jest miliardy, a w każdej z nich jest zapisana informacja o całym ludzkim organizmie. I nie tylko. Jest tam też informacja, pozwalająca dać życie zwierzętom, roślinom, owadom i bakteriom. W jednym mikroskopijnym kawałku naszego ciała jest zalążek całego ekosystemu planety. Wystarczyło go tylko posiać na sprzyjający grunt i poczekać. Proste, gdy tego słuchałam, ale gdy próbowałam to pojąć, trafiłam na barierę, której nie umiałam przeniknąć. Nie zdołałam sobie nawet wyobrazić, jak zaawansowaną technologią dysponowały Istoty.

Spoglądałam na wiszącą nad naszymi głowami planetą i próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądała, zanim poddano ją przemianom. Jak powstawały tam: atmosfera, oceany, a potem wzrosły rośliny. Jak z okruchów życia rodziły się żywe organizmy, z początku małe jak drobinki kurzu, potem większe, coraz większe, aż były na tyle duże, że mogły przemierzać lądy. Nagle zdałam sobie sprawę, że to nie mogło zdarzyć się za jednego ludzkiego życia i mimowolnie spojrzałam na nią. Wyglądała na starszą ode mnie o dziesięć, może piętnaście lat, a jednak musiała czekać bardzo długo, nawet nie potrafiłam zgadnąć jak długo, aby nowy świat rozwinął się do takiej postaci.

— Jak długo tu jesteś? — spytałam, gdy skończyła mówić.

— Nie wiem — odparła po chwili wahania.

— Nie liczyłaś dni, pór roku, lat?

— Tu czas nie istnieje w takim znaczeniu jak na ziemi.

— Wyjaśnij mi, proszę.

— Jak już pewnie zauważyłaś, nie ma tu słońca, ani księżyca, więc nie ma możliwości odmierzania czasu. Gdy się budzę, wstaje dzień, gdy jestem zmęczona i kładę się spać, zapada zmrok, jak znudzi mi się lato, nastaje zima, gdy jest mi za gorąco, z nieba spada deszcz. Nie miałam i nie mam możliwości odliczania czasu.

— Wyglądasz na trochę starszą ode mnie, a ta planeta — wskazałam palcem glob na niebie — musiała przeistaczać się przez miliardy lat.

Uśmiechnęła się lekko i spuściła oczy, nie odpowiadając mi, a ja zrozumiałam, że tak właśnie musiało być. Zrobiło mi się jej żal. Podeszłam do niej i objęłam ramieniem, a potem przytuliłam do siebie. Nie wypowiedziałam nasuwającego się pytana: jak to w ogóle mogło być możliwe, by człowiek żył tak długo i postarzał się tylko o dekadę? Domyślałam się, że możliwości Istot są ogromne i nie było sensu zadawać naiwnych pytań.

Objęła mnie pod ramionami i wtuliła głowę w pierś, tak jak to robiłam ja, będąc dzieckiem, tuląc się do matki. Oddychała spokojnie i miarowo, a ja poczułam się jak siostra pocieszająca siostrę i przytuliłam ją mocniej. Współczułam jej bardzo i rozumiałam jej poświęcenie i jednocześnie nie potrafiłam wyobrazić sobie tego poświęcenia, czasu, jaki spędziła w samotności.

— Nie byłam sama — odpowiedziała, jakby czytała mi w myślach. — Cały czas są ze mną Istoty — mówiła, wciąż tuląc policzek do mej piersi. — Nazywam ich rodziną, bo są jak moi bracia i siostry. Dbają o mnie, nie pozwalają, abym czuła się samotna i nieszczęśliwa.

— Ale nie mogą cię przytulić — powiedziałam, czując maleńką igłę zazdrości wkuwającą się w me serce.

— Masz racje. Nie potrafią tego — odrzekła, spoglądając mi w twarz. Jej uścisk wzmógł się, jakby obawiała się, że ją odepchnę. Nie miałam takiego zamiaru.

— Możemy już się tam udać? — spytałam, wzrokiem wskazując niebo i planetę na nim. — Jestem już bardzo głodna i ...

— Oj, przepraszam. — Odsunęła się ode mnie, ale nie wypuściła z rąk, trzymając mnie w talii. — Całkiem zapomniałam o tym, że musisz jeść — dodała i zamknęła oczy, robiąc przy tym poważną minę, zapewne łącząc się w myślach z kimś, kto nie był człowiekiem.

IV

Zanim obraz domu i nieistniejącego nad nim nieba rozmył się jak we mgle, a potem znikł w czarnej nicości wraz z moimi ciałem, zdążyłam pomyśleć, jak to się odbędzie, w jaki sposób przebiegnie nasza podróż. Wyobraziłam sobie szklaną kulę, w której zamkną nas i w bardzo szybkim czasie, z ogromną szybkością, pomkniemy na drugi świat. Spróbowałam oszacować tę prędkość i przeciążenie, jakim nas poddadzą, a nawet zgadnąć, jak długo będzie narastać przyśpieszenie. Spróbowałam odgadnąć, w jaki sposób wylądujemy: czy w kapsule, za pomocą silników hamujących, czy przy użyciu spadochronów.

A potem wypadłam z ciemności w jasne światło, które oślepiło mnie, także z początku nic nie widziałam. Stopy moje zatopiły się w czymś szorstkim i przyjemnie ciepłym, na plecach poczułam ciepły powiew, włosy zafalowały i końcówkami załaskotały szyję tuż pod płatkami uszu. Wciągnęłam powietrze, które wydało mi się mieć lekko słony smak. Usłyszałam zza pleców szum morza, nad głowami skrzeczały mewy, gdzieś w oddali szumiały liście, z boku dobiegł mnie huk uderzanej o skały wody.

— Jesteśmy na miejscu, moja droga — jej głos dobiegł mnie z boku, spróbowałam ją dosięgnąć, ale stała zbyt daleko, a ja bałam się zrobić krok, by nie upaść.

— Szybko — odpowiedziałam i uśmiechnęłam się radośnie.

— Widzę, że spodobała ci się podróż.

Chciałam ją zapewnić, że była niesamowita i całkowicie mnie zaskoczyła, ale zaniemówiłam, gdyż nagle odzyskałam wzrok. Nie stało się to powoli jak wyjście ze snu, czy z ciemnego pokoju w jasne od słońca podwórze. Stało się to natychmiast, jakby włączono w mojej głowie przełącznik odpowiedzialny za wizje.

Nagle stałam na szerokiej plaży o czystej i jednorodnej złotej barwie piasku, która ciągnęła się w lewo aż po horyzont, a z prawej, w dużej odległości od nas, wysoką skałą wchodzącą na kilkanaście metrów w głąb morza. Co kilkanaście sekund z impetem i ogromną siłą uderzała w nią spiętrzona grzywiasta fala, która rozbryzgiwała się wysokim wachlarzem sięgającym szczytu,

nie czyniąc żadnej widocznej szkody. A potem tworząc otoczkę pylistej mgły, jakby chcąc ukryć swą porażkę, odpływała, zabierając wody w ocean i odsłaniając dotąd ukryte wyżłobienie. Skała dająca odpór wodzie wgryzała się też w ląd, jakby wojowała na dwa fronty i tu tę walkę przegrywała. Zaledwie po kilkunastu metrach krzewy i wysokie drzewa szczelnie napierały na nią, wspinały się po stromych i gładkich powierzchniach, a nawet wgryzały korzeniami w jej kark i spychały w morze, które też jej nie chciało. Przyjrzałam się drzewom i krzewom rosnącym w pewnej odległości od morza i ciągnącym się tak jak plaża, po horyzont. Zieleń gęsto otulała konary wysokich drzew i pnąc się po nich aż po ich wierzchołki, dopiero tam, pośród szerokich liści przypominających bananowce, wystrzeliwały ku niebu licznymi łodygami pełnymi różnobarwnych kwiatów. Wokół nich latały małe stworzenia, wydawało mi się, że były to owady, na wzór ziemskich pszczół lub trzmieli, ale wkrótce miałam się przekonać, że były to ptaki. Wysoko nad nimi krążyły ogromne, czarne skrzydlate stworzenia, które od czasu do czasu spadały, łapały jedno z tych mniejszych, po czym odlatywały w głąb lądu, unosząc swą zdobycz.

Las wyglądał jak nigdy niezbadana dżungla. Żółtawa w miejscu, gdzie łączyła się z piaskiem plaży, popielata i szara tam, gdzie grube pnie oplatały pozbawione liści krzewy, zielone w konarach a tuż nad nimi kolorowa, jak łąka gęsto ukwiecona różnymi roślinami. Całość migotała w promieniach światła, drżała poruszana wiatrem i wydawała się oddychać jak ogromne zwierze. Obróciłam się za siebie. Lazurowe morze ciągnęło się po widnokrąg. Wiatr pchał je w naszą stronę, tworząc w oddali wysokie fale, które załamywały się na płyciźnie, i już bez impetu, łagodnie obmywały lekką stromiznę brzegu. Ciut nad horyzontem świeciła gwiazda dzienna. Zmrużyłam oczy i spróbowałam ją dojrzeć, ocenić jej wielkość, barwę, a nawet odległość, choć doskonale wiedziałam, że równie dobrze mogłam ją sobie wyobrazić jako wiszącą wysoko, dającą ciepło, ogromną żarówkę.

Zrobiłam kilka kroków w stronę lądu. Piasek przyjemnie

zachrzęścił mi pod stopami, a ja zauroczona krajobrazem nie dostrzegłam, że nie mam na sobie ubrania i gdy to zauważyłam, krzyknęłam przestraszona.

— Nie obawiaj się, moja droga — powiedziała, podchodząc do mnie, również będąc bez odzienia. — Nikt tu nas nie zobaczy, więc nie mamy się kogo wstydzić.

— Co się stało?! — spytałam, mając na myśli nasze ubrania, a raczej ich brak. Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, a potem uśmiechnęła się i odrzekła:

— Nie da się przenieść czegoś, co nie istnieje. Nie pamiętasz, co ci mówiłam? Tam — wskazała wzrokiem niebo — nic nie jest prawdziwe.

Pochyliłam się i nabrałam w dłoń piasku, jakbym chciała się przekonać, że ten jest rzeczywisty. Był ciepły z wierzchu i lekko chłodny, gdy głębiej zanurzyłam w nim palce, przesypywał się swobodnie, nie dając się ująć w pięści.

— Przypomina ten z plaży...

— Soczi! Pamiętam! To był wspaniały czas — przerwała mi rozemocjonowanym głosem. Oczy jej zrobiły się radosne i nieobecne, jakby przeniosła się w tamten czas i tamto miejsce.

Na krótki moment i ja się tam udałam. Dwa tygodnie wypoczynku nad Morzem Czarnym: długie spacery, wspaniałe słońce i niezwykli ludzie. Jednak nie uważałam, by tamta chwila była wspaniała, czy wyjątkowa. Było miło, to prawda, ale nic ponadto, a już na pewno nie dorównywało wspomnieniom z rodzinnego chutoru i czasów sprzed wojny.

Różniłyśmy się i było to dla mnie coraz bardziej widoczne, lecz nie zdecydowałam się podjąć dyskusji na ten temat.

Uklękłyśmy naprzeciw siebie, zauważyłam, że udem zasłoniła wstydliwe miejsce. Z początku pomyślałam, że zrobiła to niecelowo, że przecież jesteśmy tą samą osobą, kimś bliskim sobie, jak rodzina, a nawet rodzeństwo, a potem zorientowałam się, że ja również zakryłam łono i poczułam się w jej obecności nieswojo.

— Powinnyśmy zdobyć jakieś ubrania — powiedziałam poważnie

i jednocześnie uśmiechając się, co mogło wyglądać dziwacznie, lub nieszczere.

— To będzie trudne — odrzekła i zamilkła, bez wyjaśnienia. Czekała na coś, wpatrzona we mnie z ustami lekko uchylonymi i uśmiechając się przyjaźnie. Wydała mi się małą dziewczynką, która znalazła się na wielkim placu zabaw i zaraz miało ją czekać mnóstwo atrakcji. Wcale nie wydawała się przejętą brakiem odzienia. Twardo uklękła, zatapiając golenie w miękkim piasku, położyła dłonie na udach i najwidoczniej czekała, aż coś powiem.

— To nie jest takiej, jak sobie wyobrażam, prawda? — spytałam, klękając jak ona i tak samo kładąc ręce na nagich nogach. Zniknął jej uśmiech, a spojrzenie zrobiło się dorosłe.

— A co sobie wyobrażasz? — spytała głosem przypominającym mi matkę, która tym tonem próbowała wydobyć ze mnie prawdę.

— Nie wiem — odparłam, wzruszając ramionami. — Za szybko to się wszystko dzieje. Jeszcze wczoraj myślałam, że jestem w szpitalu, gdzieś w Moskwie, a przedwczoraj siedziałam w kapsule okrążającej Ziemie. Dziś jestem na plaży, na obcej planecie, przede mną klęczy osoba, która powinna być mną… — spojrzałam jej w oczy z obawą, ale ona nie obraziła się za moje słowa, wciąż wpatrywała się we mnie z ciekawością, jak nauczyciel, który zna wszystkie możliwe odpowiedzi i czeka, aż uczeń wypowie choć jedną z nich.

— Nie wiem, dlaczego to się dzieje — ciągnęłam, wpatrując się w piasek otulający moje kolana. — Nie rozumiem: dlaczego żyje, dlaczego jest nas dwie, dlaczego stworzono ten świat, dlaczego ktoś… te Istoty, o których mówisz, zadały sobie tyle trudu?

— Myślisz, że czegoś od nas chcą, prawda?

— Tak — odrzekłam cicho, jakbym nie chciała, by nas ktokolwiek usłyszał.

Chwile trwałyśmy w bezruchu. Zastanawiałam się, co mi powie, jaką tajemnicę mi zdradzi i co to będzie dla mnie oznaczało. Ufałam jej. Z jakiegoś nieznanego mi powodu, może czując, wieź, podobną do tej, jaka jest między dzieckiem a rodzicem, nie lękałam się jej wcale. Wierzyłam, że mnie nie skrzywdzi, ani nie zdradzi,

ale zauważyłam, że nie jest mną. Nie myśli tak jak ja. Owszem, ma te same wspomnienia, ten sam życiorys, ale w dniu naszej śmierci rozeszłyśmy się, jak rozchodzi małżeństwo. O tamtej chwili przestałyśmy być jednością i zaczęłyśmy żyć osobnym życiem. Ona dłużej, w innym świecie, wśród innych przyjaciół. Miała czas oswoić się, zrozumieć, poznać plan. Czułam się, jakbym przespała lekcje i zbudzona nagle, niczego nie rozumiałam. Byłam jak ślepiec wepchnięty na ruchliwą ulicę i mogłam tylko zdać się na łaskę życzliwej osoby. Dać się poprowadzić w nieznanym kierunku ufając, że u celu zaznam spokój, ufając, że podana mi dłoń nie zaprowadzi mnie nad przepaść.

— Choć — powiedziała, wstając i podając mi dłoń. — Musisz coś zjeść, bo opadniesz z sił.

— Nie czuję już głodu — odparłam, ale wstałam i dałam się pociągnąć w stronę lasu. Piasek przyjemnie parzył w stopy i uroczo chrzęścił przy każdym kroku.

Gdy zbliżyłyśmy się do pierwszych roślin, zatrzymała mnie ruchem dłoni i spytała:

— Czujesz?

Przebiegłam wzrokiem po krzewach i drzewach, wciągnęłam nozdrzami powietrze przesycone żywicą i zapachem zbutwiałych liści.

— Pachnie lasem — odparłam, wzruszając ramionami.

— A co ci podpowiada instynkt?

Spojrzałam na nią, zastanawiając się, co ma na myśli.

— Czujesz głód, pragnienie, niedosyt? — dopytywała, patrząc mi w oczy. — Co podpowiadają ci te uczucia?

— Nie rozumiem. Nie czuję już głodu, przeszedł mi…

— A pragnienie? Chcesz się napić? Nie masz ochoty skosztować wody?

Na to wspomnienie poczułam suchość w ustach i rzeczywiście, miałam ochotę napić się już od dość dawna, chyba od momentu przebudzenia, ale wyparłam to ze świadomości, wciąż będąc skupiona na tym, co działo się wokół mnie. Umysł atakowany

nowymi informacjami był zbyt zajęty, by dopuścić potrzeby ciała do głosu.

— Skup się na roślinach, które są przed tobą — mówiła głosem szamanki, która chce zawładnąć umysłem ucznia. — Przyjrzyj się liściom, łodygom, kwiatom i owocom, pomyśl o ukrytych w ziemi korzeniach. Spróbuj wyobrazić sobie, że jesz każdą z nich, próbujesz tego owocu — wskazała brązową kulistą narośl na mięsistym i włochatym, zielonym liściu. — Zrywasz go, by się nim posilić.

— Nie! — krzyknęłam niepewnie. — Nie chcę go jeść.

— Dlaczego? — spytała zdziwionym głosem, ale jej twarz wyrażała zadowolenie.

— Wydaje mi się, że jest gorzki, niesmaczny, niejadalny.

— A ten? — Wskazała palcem czerwoną jagodę zwisającą z innego krzewu.

— Ten wydaje mi się kwaśny, ale też soczysty i pożywny.

— Czy jest dojrzały?

— Tak — odpowiedziałam bez namysłu.

— Skąd wiesz? Widziałaś wcześniej taki owoc?

Przyjrzałam mu się z uwagą. Kształtem przypominał jabłko, ale jego skórka była porowata ja u orzecha włoskiego, w miejscu łączenia z gałązką wystawał rząd długich kolców. Czerwony kolor był matowy i zadziwiająco jednolity, jakby ktoś umoczył go w puszce z farbą i pozwolił wyschnąć.

— Nie znam go — odparłam, zaskakując samą siebie.

— A jednak wiesz o nim tyle, ile trzeba. Zerwij go, proszę i posmakuj.

Ujęłam owoc w dłoń i ukręciłam jednym ruchem. Był miękki w dotyku i ciężki od soku, gdy go ugryzłam, skórka pękła jak balon, odsłaniając żółty, delikatny i ociekający sokiem miąższ. Zdążyłam go posmakować i wyleciał mi z dłonie.

— Jest kwaśny i smaczny! — stwierdziłam zaskoczona i uradowana. — Skąd wiedziałam?!

— Ten świat jest twój, moja droga. Wiesz o nim tyle samo, co inżynier znający swoje dzieło.

— Ale jak to możliwe?!

Nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła i dostrzegłam w niej zadowolenie. Wyglądała jak moja matka w dniu, gdy podarowała mi swoją najlepszą chustę, a ja tańczyłam z nią po izbie, nie posiadając się z radości. Tamtego dnia wyjechałam z chutoru z myślą o walce z najeźdźcą, i to wspomnienie zgasiło moją radość.

Czyżbym i teraz się żegnała? — pomyślałam i zaraz wyparłam tamto smutne wspomnienie.

Zerwałam kolejny owoc i tym razem udało mi się go zjeść w całości, wcale nie dziwiąc się, że w środku odnalazłam twarde nasiono. Potem zerwałam inny, wyrastający z grubego brązowego badyla przypominającego wbity w ziemie pal. Wyglądał na twardy w środku i taki też był. Wiedziałam też, że jest pełny białka, węglowodanów, witamin i mnóstwa różnorakich minerałów. Rozłupałam kruchą jak skorupka jajka brunatną otoczkę, odsłaniając biały owoc i bez żadnej obawy, zjadłam go wraz z drobnymi pestkami. Przyglądając się małej roślince o drobnych beżowych kwiatach, wiedziałam, że kryje ona pod ziemią brązowe bulwy, które dopiero dojrzewają i za niedługi czas będą smaczne i bardzo pożywne.

Dopiero gdy zaspokoiłam głód i pragnienie, spostrzegłam, że moja towarzyszka nie skosztowała żadnego owcu. Stojąc z boku, tylko mi się przeglądała z zadowoloną miną.

— Ty nie jesz? — spytałam i nie czekając na odpowiedź, zerwałam jeden z owoców i podałam jej.

Odskoczyła w tył z miną, jakbym jej podsunęła truciznę.

— O co chodzi?

Wyglądała na przestraszoną, ale szybko się opanowała.

— Nie potrafię jeść — wyznała z oporem i zmieszaniem na twarzy. — To znaczy, nie umiem trawić pokarmu — wyjaśniła, a na jej twarzy malował się wstyd.

„Kolejna zagadka, którą trudno będzie mi zrozumieć” — pomyślałam i chciałam zbyć to wzruszeniem ramion, nie drążyć tematu, uznając, że skoro tak jest, to widocznie musi tak być, ale ona

sama zaczęła.

— Tam, gdzie mieszkam, nie ma pokarmu, ani wody — mówiła powoli, ważąc każde słowo, jakby przyznawała się do winy. — To już wiesz. Widziałaś znikającą fasolkę, nieistniejące miasto, jezioro, w którym jest nieprawdziwa woda. — Spojrzała mi w oczy z błagalnym wyrazem, jakby prosiła mnie o wybaczenie.

To nic nie znaczy — pomyślałam wówczas, nie zdając sobie sprawy z prawdy, jaką jeszcze kryła przede mną.

— Wczorajsza papka była wyśmienita — zapewniłam ją, uśmiechając się pojednawczo.

— Wiem. Poniuchałam ją, zanim ci podałam. Pachniała wyśmienicie.

Ona również się uśmiechnęła, lecz krótko i nieśmiało.

— Zgaduję, że to nie cała prawda.

Spojrzała na mnie przelotnie, tylko na ułamek sekundy nasz wzrok spotkał się, zdradzając jej niepewność, a potem zwróciła się w stronę oceanu i zachodzącego słońca. Chwilę stałyśmy w milczeniu. Czekałam na jej słowa z obawą. Nauczona, że gdy ma coś trudnego do przekazania, daje sobie czas na dobranie odpowiednich słów. Była jednak oszczędna, mówiła krótko i tematycznie, tak jak ją wyszkolono w armii i przez to nie umiała być delikatna, choć bardzo się starała.

— Nie mogę zostać na tej plancie — rzekła szybko i z pewną dozą złości, jakby oskarżała i od razu wydawała wyrok. Nie odezwałam się słowem, nie poruszyłam się, na długą chwilę wstrzymałam oddech, rozumiejąc, co oznaczają te słowa. Poczułam fizycznie: żal i zawód, ścisnęło mi serce i krtań, łzy same poleciały, jak krople deszczu spadały na obnażone piersi, a gwiazda dzienna swą tarczą sięgając wody, zrobiła się purpurowa, jakby zawstydziła się widoku płaczącej dziewczyny.

— Będę tu sama, prawda? — łamiącym głosem zadałam pytanie, na które, wydawało mi się, znałam odpowiedź.

— Nie! — zaprzeczyła gwałtownie. — Nie mogłaby ci tego zrobić!

— Więc co? — spytałam, czując, jak wyczerpują się moje siły.

— Już ci mówiłam. Oni mają plan i, mimo że ja zrezygnowałam, oni nie przestali go realizować, nie zniszczyli planety, tylko dlatego, że im odmówiłam.

— Czego zażądali od ciebie? Co było takiego w tym planie, że im odmówiłaś, a teraz zapewne liczysz, że ja się na niego zgodzę? — Nie miałam zamiaru ją atakować, ale czując się jak zagnane w pułapkę zwierzę, zrobiłam to.

Znowu przez kilka sekund milczała, a ja zaczynałam mieć tego dość. Żal uleciał, łzy ustąpiły i w moim sercu zagościła złość. Zauważyła moją zmianę, spuściła wzrok i zaczęła mówić:

— Gdy mnie obudzili, planeta była już pełna roślin i zwierząt. Pozwolili mi ją odwiedzić, ale ja … — Zawahała się, spojrzała na mnie ukradkiem i westchnęła ciężko, nie dokończywszy zdania.

— No mów wreszcie! — uniosłam głos, czując rosnącą irytację, pomieszaną z ciekawością.

— Nie ufałam im — odrzekła po chwili milczenia, z wyraźną ulgą, westchnąwszy ciężko.

— Nie ufałaś im?

— Myślałam, że to obcy wywiad, że odurzyli mnie narkotykami, że zainscenizowali to wszystko, by osłabić moją wolę, zmusić mnie do współpracy, abym zdradziła ojczyznę.

— Ale pokazali ci Ziemię. Czy nie uwierzyłaś własnym oczom?

— Ty byś uwierzyła?

Patrzyła na mnie, jakby znała moją odpowiedź i była pewna, że się z nią zgadzam.

Ja jednak się zastanawiałam. Czy zaufałabym tajemniczym istotom gadających w mojej głowie i pokazującym nieprawdopodobne obrazy? Próbowałam wyobrazić sobie mówiący we mnie głos, który przekonuje mnie, że Ziemia nie istnieje, że jestem ostatnią ludzką istotą w kosmosie i nie mam już domu, do którego mogłabym wrócić. Poczułam wewnętrzny sprzeciw, coś we mnie krzyknęło, że to nie może być prawda, że nie ma takich praw, które dopuszczałoby nieistnienie ziemi. To przeczyło logice, kłóciło się z odwiecznym i niezmiennym porządkiem, zaprzeczało

jedynej fundamentalnej wartości, która jest ponad ludźmi, ponad narodami, ponad bogactwem, władzą, a nawet życiem. Ziemia jest tą wartością. Ona jedyna przewyższa każdego z ludzi, każde zbudowane przez nas dzieło, nieważne jak bardzo byśmy poczynili postępy w nauce i technice, ona zawsze nad nami by górowała, nawet za tysiąc lat, gdybyśmy ją kiedyś opuścili, może nawet zapomnieli, ona wciąż by istniała. Niestety. W moim rozumowaniu dostrzegłam błąd i zrozumiałam, że myślałam jak dziecko i jak ono wierzy w nieśmiertelność matki, tak każdy z ludzi wierzy w niezniszczalność ukochanej i jedynej planety.

— Nie wiem — odrzekłam, wciąż myśląc i bezskutecznie próbując wyobrazić sobie zniszczenie ziemi.

— Czego nie wiesz? — spytała z niedowierzaniem w głosie.

— Nie wiem, czy bym uwierzyła własnym oczom.

Zerknęła na mnie ukradkiem i powiedziała z rezygnacją:

— Więc mnie rozumiesz.

— Chyba tak — odparłam z wahaniem, po czym szybko dodałam. — Opowiedz mi, jak to się stało, jak doszło do zniszczenia ziemi.

— Zmierzcha się — powiedziała, spoglądając w kierunku dziennej gwiazdy zatopionej do połowy w oceanie. — Tu szybko zapada noc, więc powinnyśmy się przygotować.

— Nie wrócimy tam? — spytałam, palcem wskazując niebo.

— A chcesz?

— Nie! — odparłam, słysząc we własnym głosie dziecinny sprzeciw i zawstydziłam się przed nią. Wciąż nie potrafiłam zrozumieć uczuć, jakie kierowałam ku kobiecie, która była, mną, a zarazem kimś innym. Gdy zbierałyśmy suche gałązki i układałyśmy je w mały stos, tak jak nas uczono w szkole przetrwania na wypadek lądowania w odludnym i trudnym terenie, podpatrywałam ją dyskretnie i zastanawiałam się, kim jest dla mnie. Czułam się przy niej bezpieczna, i to przywodziło mi na myśl matkę, w której ramionach zawsze mogłam się schronić, ale nie czułam tego do niej w pełni. Była też moją przewodniczką, kimś w rodzaju nauczycielki,

co skłaniało mnie do traktowania ją z estymą i ufnością. Jej wylewna dobroć onieśmielała mnie, ale nie na tyle, bym czuła się w jej obecności skonfundowana, raczej odbierałam to jako bliską życzliwość niepodszytą obłudą.

Nachylając się, podnosiła patyki lewą ręką i układała je na prawym ramieniu, a każdy szczegół jej pracy, ruch dłoni, zgięcie prawego kolana bardziej niż lewego, nawet taki drobiazg jak uchylanie ust przy głębszym skłonie, był jak lustrzane odbicie moich czynności.

„Kim jest dla mnie? Kim ja jestem dla niej?" — zadałam sobie w myślach ponownie nurtujące mnie pytanie i nie potrafiłam odgadnąć, która z nas jest prawdziwą Katią, dziewczyną, która wsiadła w kapsułę Łabędzia i ruszyła zdobyć kosmos. Niegdyś byłam tylko ja, miałam swoje myśli, marzenia, wyobrażenia, widziałam świat własnymi oczyma i rozumiałam go na swój sposób, miałam też własne utajone pragnienia i nieskrywane ambicje i nagle spotkałam człowieka, z którym przyszło mi to wszystko dzielić: wspomnienia, ważne momenty mojego życia, chwile wstydliwe, lęki, żale i urywki pełne radości, ukryte przed światem dziewczęce miłostki, naiwne marzenia, wiara w zło i dobro, nienawiść do człowieka i... miłość do matki. Poczułam lekkie ukłucie zazdrości, a może niesprawiedliwości i spojrzałam za oddalającą się w poszukiwaniu krzesiwa kobietą. Czy czuła się córką mojej matki, tak jak ja nią jestem? Czy tak samo, jak ja, tęskniła za nią, wspominała ją i pamiętała jej ciepło i zapach?

Nagle uświadomiłam sobie, że nie byłyśmy jedyne, ani też pierwsze, że dziewczyna, która w młodości ruszyła na wojnę, a potem, gnana ambicją podsycaną marzeniami, zgłosiła się do lotu w kosmos, nie była ani mną, ani kobietą, która z uśmiechem zadowolenia, zbliżała się do mnie.

— Znalazłam — odrzekła z dumą i od razu zabrała się do krzesania iskier, a ja przytrzymując w dłoni garść suchej trawy, która nie różniła się niczym od tej, którą zapamiętałam z dawnej ziemi, kucnęłam przy niej. Iskry sypane na paliwo zamieniły się

w płomyki, a te podsycane tlenem z moich płuc, przemieniły się w jasny ogień. Rodzący się żar z ochotą wgryzł się w suche patyki, nieśpiesznie zaczął je pożerać i jakby z wdzięczności za swoje narodziny, obdarowywał nas ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa.

Usiadłyśmy obok siebie, jak przyjaciółki, które nie mają i nie mogą mieć przed sobą tajemnic, po turecku, w identyczny sposób przytrzymując stopę ręką, tym samym gestem, bez żadnej potrzeby tylko z nawyku, potarłyśmy dłonią czoło nad lewą brwią i z tym samym wyrazem twarzy, identycznym uśmiechem, spojrzałyśmy na siebie.

— To niesamowite — drżącym z emocji głosem wypowiedziałam słowa, pewna, że ona czuje to samo.

— To, że tu siedzimy, razem? — spytała, zaskoczona i nagle stała się czujna.

— Miałam na myśli, że ty i ja... to znaczy... my dwie... jesteśmy takie...

Zamilkłam, nie będąc pewna, czy rzeczywiście dzielimy te same myśli i uczucia, czy w tej chwili ona dostrzega we mnie to samo co ja w niej. Przyglądała mi się uważnie, ale i łagodnie starając się nie nie przekroczyć granicy, za którą mogła stać się w moich oczach natrętną. Uśmiechałam się do niej niewinnie i ulegle, jak szczeniaczek do swej pani, prawie błagalnie, jakbym chciała wyżebrać smakołyk i wcale nie czułam się z tym źle, czy gorsza lub mniejsza, bo było mi z tym dobrze, tak naturalnie, jak uległy gest w stronę człowieka spolegliwego. A jednak jej odpowiedź mnie zaskoczyła.

— Masz na myśli wygląd? Że jesteśmy bardzo podobne do siebie?

— Nie — odparłam szybko, czując się zawiedziona. — To prawda, że nie wiele różnic można dostrzec w nas, ale ja miałam na myśli, coś większego, coś, co jest w nas, w naszym wnętrzu. Co sprawia, że nie mogę wątpić, że ty to ja, a ja to ty.

Patrzyła na mnie niepewnym wzrokiem, marszcząc przy tym czoło. Robiłam tak samo, gdy byłam zmuszona intensywnie myśleć, gdy nie znałam odpowiedzi i lękałam się, że mój interlokutor

to zauważy i uzna za słabość. Dziwne to uczucie, zobaczyć swój lęk w oczach drugiej osoby.

— Spójrz na to, jak siedzimy — powiedziałam, spoglądając to na nią, to na siebie. — Jak ty trzymasz ręką stopę, choć to tylko nawyk, nie konieczność, i jak ja to robię. Czy nie przyjrzałaś się moim ruchom, gestom, mimice, czy nie dostrzegłaś we mnie samej siebie?

Była zaskoczona i nie starała się tego ukryć, a ja próbowałam zgadnąć, czy robi to świadomie, bo już wie, że nie uda jej się mnie zmylić, czy wcale nie miała takiego zamiaru i jest ze mną szczera od samego początku.

— O czym teraz myślisz? — spytałam, chcąc pójść dalej.

— Teraz? — Wydawała się wyrwana z odrętwienia.

— Tak, teraz, w tej minucie.

— Nie jestem pewna — odparła, zwieszając na chwilę wzrok. — Chyba zaczynam coś rozumieć, coś, czego nie uświadamiałam sobie wcześniej.

— Tak? — dodałam z obawy, że zatrzyma się i nie dokończy myśli.

— Powinnam cię przeprosić — wyszeptała, patrząc mi smutno w oczy.

— Dlaczego?

— Potraktowałam cię jak dziecko. Przepraszam. Nie powinnam tak o tobie myśleć.

— A jak o mnie myślałaś?

Spojrzała mi w oczy z grymasem bólu na twarzy i długą chwilę milczała, zanim wypowiedziała swoje myśli.

— Jak o kimś obcym.

— Co? — wybąknęłam, całkowicie zaskoczona.

— To samo się stało — mówiła, już nie patrząc na mnie, zwróciwszy twarz do ognia.

— Nie zastanawiałam się wcześniej, jak to będzie, gdy ty się narodzisz. Traktowałam to, jak zadanie, misję, którą powinnam wykonać. Tak bardzo się na tym skupiłam, na celu, jaki sobie postawiłam, na szansie, jaką dały mi Istoty, że nie pomyślałam o tobie jak o... Wydawało mi się, że będziesz kimś..., że będziesz

jedną z dziewczyn z drużyny, kimś, kogo mam przyuczyć, dać instrukcje, upewnić się, że wykonasz zadanie… a potem wysłać w samotną misję.

— Więc co się zmieniło? — spytałam, z trudem panując nad emocjami, które chciały wybuchnąć we mnie, niczym odbezpieczony granat.

— To stało się samo, w chwili, gdy zobaczyłam cię pierwszy raz, gdy jeszcze spałaś, a ja stałam nad twoim ciałem, poczułam, że nie jesteś mi nieznajomą, przysłaną na moje miejsce, kimś, kogo mogę zapomnieć, jak zapomina się żołnierza wysłanego na straconą pozycję. Z początku tłumaczyłam sobie — to zwykła tęsknota za ludźmi — myślałam, że to nic takiego i mi przejdzie… ale tak się nie stało. Polubiłam cię i bardzo szybko, to drobne uczucie, przerodziło się w miłość. A gdy otworzyłaś oczy, gdy widziałam, jak bardzo jesteś zagubiona i przerażona, pragnęłam tylko się tobą opiekować. Byłaś… jesteś taka młoda — spojrzała na mnie z troską i wówczas dostrzegłam to wyraźnie. Patrzyła na mnie wzrokiem naszej matki. Tymi oczyma żegnała mnie, gdy szłam na wojnę, a po kilkunastu latach tak samo na mnie spojrzała, gdy oznajmiłam jej, że polecę w kosmos.

— Przepraszam cię — powiedziała z trudem, a łzy pociekły jej po policzkach.

Przysunęłam się do niej i objęłam ramieniem.

— Nie musisz przepraszać — zapewniłam ją — nie zrobiłaś nic złego, a ja wciąż jestem ci wdzięczna.

— Za co? — spytała, pociągnąwszy nosem. — Przecież zmusiłam cię do przyjścia w to miejsce?

— Nie zmusiłaś, chciałam tu być.

— Zrobiłam to, choć tego nie dostrzegasz… i zrobiłam coś jeszcze, czego ci nie powiedziałam.

Nie odsunęłam się od niej, ale drgnęłam, czując lęk, co nie mogło ujść jej uwadze, więc przyciągnęłam ją mocnej i zachęciłam słowami:

— Mów moja starsza siostro. Nie boję się niczego ani nikogo. Powinnaś to wiedzieć.

— Poprosiłam... powiedziałam im, abyś miała moje wspomnienia — wypowiedziała to z wyraźną ulgą, jakby pozbywała się balastu, ale wciąż wyglądała na przybitą i słabą.

Odsunęłam się i spojrzałam na nią ostro.

— Jak to, twoje wspomnienia?!

— Tak im powiedziałam.

— Uważasz, że one są tylko twoje? Jak mogłaś?! Przecież to też moje wspomnienia! Nie miałaś prawa traktować ich jak swoją własność! — krzyczałam, pierwszy raz czując do niej prawdziwą złość. — Co ty sobie w ogóle wyobrażałaś?!

— Myślałam, że przeżyłam ten lot, że udało mi się uratować — mówiła spokojnie, a ja przerwałam swą tyradę, będąc ciekawą jej tłumaczenia. Miała mokrą twarz, już nie płakała, głos jej drżał i co chwilę pociągała nosem.

— Byłam i jestem Katią, urodzoną w chutorze na Kubaniu, weteranką Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, pilotką w pułku lotniczym, kosmonautką, która została wybrana do pierwszego lotu w kosmos. Siedziałam w kabinie Łabędzia i w niej...

Nie unosiła się, wyglądała na opanowaną, ale tembr jej głosu zdradzał, że nie mówiła z przekonaniem. Wiedziałam, jakie słowo zawisło jej na wardze, byłam jego pewna, tak jak tego, że też jestem Katią, urodzoną w chutorze na Kubaniu.

— Nie umarłyśmy tam — dodałam i przez chwilę rozmyślałam o ostatnich sekundach życia w kapsule statku kosmicznego. Wtenczas nie miałam żadnych złudzeń.

— To nie my zginęłyśmy w Łabędziu — powiedziałam, nagle uświadamiając sobie prawdę.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem, ale nie zadała pytania. Czekała na mnie, a w jej oczach, wciąż mokrych, zobaczyłam nadzieję, jakby spodziewała się, że moje słowa ukoją jej ból. Miałam nadzieję, że tak się stanie.

— W tamtej misji zginęła Katia i jej już nie ma. Ona przestała istnieć, ale dała życie tobie, a potem mi. Z jej ciała powstały zalążki egzystencji tej planety. To ona jest matką nas i każdego organizmu

na tym świecie. My jesteśmy jej dziećmi, a jej wspomnienia są dla nas darem, bez którego nie potrafiłybyśmy zrozumieć własnego bytu. Twoi przyjaciele, Istoty, z którymi rozmawiasz, dały nam szanse, ale nie byłoby niej, gdyby nie Katia pochodząca z chutoru nad wielkim jeziorem.

— Więc mówisz, że ona jest naszą matką? — powiedziała, a twarz jej przestała być napiętą maską bólu.

— Tak. Tak właśnie myślę — odparłam i na powrót objęłam ją ramieniem.

— Miło jest być blisko ciebie — powiedziała i obejmując mnie w talii, położyła głowę na mojej piersi.

Ogień tańczył czerwono żółtym płomieniem, a my wpatrywałyśmy się w niego, tuląc do siebie nagie ciała. Chłodny wiatr napływający od oceanu obmywał nasze plecy i ramiona, niósł zapach muszli ledwo co wyciągniętej z morza, wciągając go nozdrzami, miałam wrażenie, że wypełnia mnie esencją życia, jakby był czystym tlenem. Myślałam o przyszłości, o tym, co mnie czeka, o trudach, jakie będę musiała pokonać, o niebezpieczeństwach czyhających w wodzie, powietrzu ziemi i gęstym lesie, myślałam o samotności, ale też o ludziach, którzy przyjdą po mnie, jeszcze nie nazywałam ich swoimi dziećmi, nie czułam się ich matką, lecz kimś, kto ma się nimi zaopiekować, dać schronienie, nakarmić, nauczyć przetrwać. Sama umiałam to doskonale, pamiętałam każdą lekcję z czasów przygotowań do lotu w kosmos, zrzuty na spadochronie w odległej tajdze i samotne kilkudniowe przedzieranie się do bazy. Pamiętałam wojnę i otaczającą mnie zewsząd śmierć, nauczyłam się radzić sobie ze stratą, samotnością i cierpieniem. Byłam przygotowana na nagłe zagrożenie, niespodziewany atak, wciąż czujna, bezustannie skoncentrowana na otoczeniu. To wszystko było zapisane w pamięci Katii, a także w mojej głowie. Zrozumiałam, że nie byłabym nic warta, gdybym nie miała jej wspomnień, doświadczenia i wiedzy. Gdyby tuląca się do mnie kobieta nie przekazała mi tego, czego nauczyła się o tej planecie, byłabym jak bezbronna dziewczynka porzucona w bezkresnej Syberii. Gdyby nie podzieliła się ze mną, skazałaby

mnie na pewną śmierć.

— Spójrz w niebo — powiedziała nagle, przerywając moje myśli i wzrokiem wskazała nieboskłon nad lasem. Drgnęłam z wrażenia, a z moich ust wydobyło się westchnienie pełne zachwytu, gdy unosząc głowę, spostrzegłam ogromną tarczę, zawieszoną tuż nad wierzchołkami drzew.

— Czy to księżyc?! — spytałam, zaskoczona jego barwą, tak bardzo odmienną od zapamiętanego ziemskiego satelity.

— Prawda, że jest piękny? — odparła, odsuwając się ode mnie, jakby chciała zrobić mi więcej miejsca do obserwacji. — Jest odrobinę większy od ziemskiego, no i nie jest taki zimny i martwy.

— Skąd tam tyle odcieni żółć? A te ciemne plamy to kratery? Czym są czerwone i pomarańczowe miejsca? Czy to jeziora? Czy da się tam polecieć? — zasypywałam ją pytaniami, jak dziecko, któremu pokazano zabawkę w witrynie sklepu. Wstałam, bez namysłu i podeszłam w jego stronę kilka kroków, jakbym chciała przyjrzeć mu się baczniej z bliska.

— Jego powierzchnia jest pokryta wielobarwnymi związkami siarki, dwutlenku siarki i krzemianów, zaś czerwone jeziora, jak je określiłaś, są opadami wulkanicznymi, ciemne miejsca są miejscami po uderzeniach. Jak dobrze się przyjrzysz, to zauważysz, że niektóre formacje są w ruchu. To chmury pyłu płynące w gęstej atmosferze dwutlenku siarki ze śladową domieszką innych gazów.

— Więc nie da się tam żyć, ani nawet wylądować — stwierdziłam, a mój entuzjazm szybko ostygł.

Podeszła do mnie i stanęła z boku.

— Tego nie wiemy — odrzekła, wzbudzając moją ciekawość.

— Co masz na myśli?

— A tylko to, że wszystko jest możliwe i nie wiadomo jak rozwinie się nauka na tej planecie. Może uda się wynaleźć materiały zdolne osłonić statki i ludzi?

Chwilę przyglądałyśmy się księżycowi w milczeniu, a ja w duchu przyznałam jej racje. Lot na księżyc, nawet tak nieprzyjazny, jak ten, był tylko kwestią czasu, dobrej woli ludzkości i wytężonej pracy

naukowców.

— Ciekawe — zaczęła, przerywając milczenie — czy tak jak na ziemi, wszystko będzie kręcić się wokół wojen?

Spojrzałam na nią zaintrygowana. Wciąż nie odrywała wzroku od żółtawej tarczy wiszącej nad naszymi głowami i myślała nad czymś złowrogim, czymś, co zmieniło wyraz jej twarzy na ponury.

— Boisz się, że historia się powtórzy? — spytałam cicho, jakbym nie chciała zburzyć jej stanu i chyba nie chcąc usłyszeć odpowiedzi.

Westchnęła głęboko i spuściła wzrok, wydawała się zrezygnowana, jakby w ten sposób chciała potwierdzić moje obawy, a potem, nagle jej oblicze pojaśniało, i na powrót zwróciwszy oczy ku księżycowi, powiedziała:

— Zazdroszczę tym, którzy będą odkrywać jego tajemnice.

A ja wiedziałam, że ona już je wszystkie znała. Domyślałam się, że poznała je w bardzo krótkim czasie, być może była na jego powierzchni, dotykała skał, spacerowała po krawędziach wulkanów i zapewne żałowała, że stało się to zbyt łatwo.

Księżyc tymczasem wzniósł się wyżej, jego światło koloru żółtego dawało wrażenie ciepła, piasek w jego blasku stał się złoty, las zmienił barwę z ciemnej intensywnej zieleni na żółtozieloną i zdawał się lekko świecić, jakby jego liście oddawały światło zgromadzone w nich za dnia. Spojrzałam za siebie na ocean, ten przybrał barwę soczystej zieleni, poruszany wiatrem zdawał się ogromnym polem falującej trawy, skały klifu, za dnia szare, odbijały nocne światło w kolorze khaki, sprawiając, że wydawały się mniejsze i nieciekawe. Za dnia mogłam uwierzyć, że jestem na rodzimej planecie, tylko gdzieś w odległym i nieznanym mi zakątku, gdzie rosły egzotyczne owoce i nieznane mi gatunki fauny, ale noc psuła to wrażenie, zmieniając świat w obcy, ale i piękny. Groźny, a zarazem tajemniczy i pociągający.

— Już czas na nas — powiedziała, chwytając mnie delikatnie za dłoń.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

— Musimy odejść stąd?

— Chciałaś zobaczyć Ziemie. Obiecałam ci to, więc powinnyśmy się tam udać.

Chwilę milczałam, rozglądałam się po obcym świecie. Spojrzałam na las, w którym od czasu do czasu dało się słyszeć odgłosy żerujących i nawołujących się zwierząt, na ocean, w którym, wiedziałam to, było mnóstwo małych i dużych stworzeń, łagodnych i drapieżnych, smacznych i trujących. Wznosiłam głowę i potoczyłam wzrokiem po czarnym niebie pełnym nieznanych mi gwiazd, nieopisanych gwiazdozbiorów, nieodkrytych siostrzanych planet. Poczułam nagle nostalgię, żal i smutek. Zrozumiałam, że nie mam gdzie wracać, a wszystko, za czym jeszcze tęskniłam, już nie istniało. Zadałam sobie w myślach pytanie: czy tęsknie tak bardzo za ojczystą planetą, że aż pragnę zobaczyć jej rozszarpane ciało? Czy nie lepiej zachować w pamięci obraz, jaki widziałam z kapsuły Łabędzia?

— Nie.

— Nie? — spytała, a w jej głosie usłyszałam niedowierzanie.

— Nie musisz mi pokazywać, nie chcę tego widzieć.

Jej dłoń ześlizgnęła się z mojej, a ja odczułam to, jak ostateczne rozstanie.

Stanęła naprzeciw mnie, w jej oczach zobaczyłam niepewność i lęk.

— Nie potrzebuję dowodu, wystarczą mi twoje słowa, ale chcę wiedzieć, jak to się stało, chcę to pamiętać i przekazać następnym po mnie.

Wyraźnie się rozluźniła, jej oczy stały się czyste i spokojne, na ustach zawitał drobny uśmiech i rzekła spokojnym głosem, do jakiego zdołała mnie już przyzwyczaić:

— Dobrze, ale skoro zostaniemy tu na noc, powinnyśmy zadbać o łóżka.

— Czy noce są tu bardzo chłodne? — spytałam i od razu otrzymałam odpowiedź, która nie nadeszła od niej, tylko z głębi mojej świadomości, wyskoczyła nagle jak wspomnienie, albo wyuczona wiedza, rozjaśniła umysł i zgasła szybko pozostawiając mi w głowie czystą odpowiedź. Nagle wiedziałam wszystko o tym

miejscu, jakbym była tu wcześniej i spędziła sporo czasu, ucząc się wszystkiego niezbędnego do przeżycia.

Zaśmiałam się do siebie i nie czekając na jej odpowiedź, ruszyłam w stronę lasu, a wchodząc w niego głębiej, ze zdumieniem odkryłam, że lekka zielonkawa poświata ma swe źródło w niezliczonych kwiatach podobnych do lilii, wokół których krążyło mnóstwo małych brzęczących owadów. Przez chwilę z zapartym tchem przyglądałam się niezwykłemu zjawisku, jak zauroczona obserwowałam włochate owady wielkością przypominające ziemskie kolibry, jak wlatują w kielichy kwiatów i piją zgromadzoną tam ciecz. Gdzieś nieopodal usłyszałam szelest liści poruszony, przemykającym się cielskiem ogromnego zwierza, które zlęknione moim przybyciem dotychczas ukryte, zdecydowało się na ucieczkę. Gdy spojrzałam w górę, dostrzegłam kilkoro par wpatrzonych we mnie oczu. Przyglądały mi się z zaciekawieniem nie mniejszym zapewne niż moje i nagle poczułam, że to mój świat. W jednej chwili byłam myślami na ziemi, a w następnej nie potrafiłam pozbyć się uczucia, że wreszcie jestem w domu. Westchnęłam, zaciągając się przesyconym zapachami lasu powietrzem i powiedziałam cicho, tak by nie zmącić spokoju wokół mnie:

— Jestem w domu.

Bezbłędnie trafiłam do wielkiego drzewa, wokół którego leżało mnóstwo ogromnych liści, odnalazłam długie żerdzie rosnące w skupiskach, rękoma zdarłam kilka garści włochatej kory z drzewa wijącego się tuż nad ziemią niczym ogromny wąż. Zebrałam wszystkiego odpowiednią ilość i dumna z siebie powróciłam do ogniska.

— Zuch dziewczyna! — pochwaliła mnie, a ja rzuciłam materiał na piasek i przystąpiłam do budowy schronienia.

— Powiedz mi — zaczęłam, nie przerywając pracy — w jaki sposób wiem to wszystko: o pogodzie na tej plaży, o owocach, roślinach i zwierzętach? Wiem na przykład, że poranek będzie chłodny i spadnie drobny deszcz, a wiatr zmieni kierunek i przyniesie zapach z głębi lądu, że zwierzęta w lesie nie podejdą do nas

bynajmniej z powodu ognia, tylko naszej tu obecności, że z oceanu tuż po wschodzie wypełzną niewielkie skorupiaki podobne do ziemskich żółwi. Nigdy ich nie widziałam, ale wiem, jak smaczne jest ich mięso upieczone na kamieniu. Jak to możliwe, że znam ten świat lepiej niż ziemie, na której żyłam trzydzieści lat? Wiem, co jest za tym horyzontem — wskazałam dłonią ocean — choć nigdy tam nie byłam, to wystarczyło, abym tylko pomyślała, zadało sobie pytanie, a odpowiedź przychodzi sama i natychmiast.

— Wiesz, bo to jest ci niezbędne, moja droga — odparła, przykucnąwszy nieopodal i przypatrując się, jak buduję schronienie. — Nikt nie poradzi sobie w obcym świecie bez przygotowania, potrzebna jest wiedza, choćby ta najprostsza: który owoc jest pokarmem, trucizną lub lekiem. Przemierzając ten świat, musisz znać go, jak rodzinny chutor, bo tylko tak przeżyjesz. Istoty zadbały, abyś była przygotowana do życia na tej planecie, zrobiły to z własnej woli, taki jest ich plan.

Kończyłam wiązać liście okrywające schronienie i zastanawiałam się nad intencją tajemniczych Istot. Czym się kierowali, zabierając martwe ciało, dryfujące wokół zniszczonej ziemi? Czy była to z ich strony tylko ciekawość, czy może współczucie? Dlaczego zdecydowali się odtworzyć człowieka, skąd u nich potrzeba znalezienia mu nowego domu, dania mu szansy zacząć wszystko od początku?

Schronienie było gotowe, choć sklecone w pośpiechu, wiedziałam, że w tym terenie wytrzyma przez długi czas. Przenieśliśmy ognisko bliżej wejścia, żółty księżyc wisiał już nad naszymi głowami, a ja zauważyłam, że wcale nie zmienił swego oblicza i podobnie do ziemskiego, wciąż patrzył na mnie tą samą twarzą. On był dla mnie zagadką i na każde niewypowiedziane pytanie o niego, nie znajdowałam odpowiedzi. Zrozumiałam, że tą wiedzą mnie nie obdarowano z jakiegoś szczególnego powodu. Kosmos nad moją głową był dla mnie tajemnicą, która kusiła, zmuszała, by ją odkryć i zmuszać będzie każdego po mnie, aż ludzkość ruszy w jego kierunku.

Usiadłyśmy jak poprzednio po turecku i tym razem to ona mi się przyglądała, jak siadam i jak zakładam stopę na kolano. Kiwała z niedowierzaniem głową, a ja uśmiechałam się zwycięsko.

— To naprawdę niezwykłe — skomentowała.

— Mówiłam ci, jesteśmy do siebie podobne jak siostry.

— Więc bądźmy dla siebie siostrami — rzekła, patrząc mi w oczy z niezwykłą powagą, a ja odczułam jej słowa, jak przysięgę na wierność, i miłość po kres wszystkiego.

— Więc jesteśmy siostrami — odpowiedziałam szczerze i uśmiechnęłam się lekko, nie mogąc powstrzymać rozpierającej mnie radości. Ona też się uśmiechnęła, a potem objęłyśmy się ramionami i długo tuliły, chwiejąc się w niewygodnej pozie, ciesząc się swoją obecnością i milcząc, skupione tylko na tej chwili.

Gdzieś w oddali zaskrzeczał ptak głosem żałosnym, a ja wiedziałam, że oddał życie, stając się pokarmem drapieżnego kota.

— Czy powinnyśmy nadać sobie imiona? — spytała, wyrywając mnie z chwilowej zadumy.

Zastanowiłam się nad jej pytaniem: czy skoro byłyśmy tylko dwie, musiałyśmy mieć imiona? Przecież mogłam ją nazywać zwyczajnie — siostra, i tak się do niej zwracać, nawoływać, a w przyszłości... wspominać.

— Myślę, że nie — odparłam z wahaniem, a ona zwiesiła głowę, jakby się zasmuciła, więc dodałam:

— Czy to ważne dla ciebie?

Milczała chwilę, zanim zdobyła się na odpowiedź:

— Ja odejdę i być może nigdy już nie wrócę w to miejsce. — Uniosła wzrok w zadumie i przez chwilę patrzyła przed siebie, a potem dodała smutnym i zrezygnowanym głosem — boje się, że zostanę zapomniana.

— Ja nie zapomnę cię nigdy — mówiłam z powagą i wiarą we własne słowa, a ona uśmiechnęła się do mnie wdzięcznie i krótko, jakby chciała być miła dla mnie i zaraz znowu stała się zamyślona i poważna.

— Ale oni zapomnieli. — Zwróciła się do mnie twarzą, na której

dojrzałam smutek i rezygnację.

— Kto zapomniał? — spytałam, nie wiedząc, kogo miała na myśli.

— Oni. Ludzie, którzy wysłali Katię w kapsule statku kosmicznego.

— Nie wiesz tego — zaprzeczyłam słabo, jakby przeczuwając, że ona wie więcej niż ja.

— Zapomnieli, moja droga — mówiła wolno i z przekonaniem — gdyby było inaczej, ludzkość by przetrwała.

— Jak to, by przetrwała? Więc wiesz, co się stało? — spytałam, poruszona jej słowami i zaciekawiona.

— Wysłali nas w kosmos... — zawahała się, po czym sprecyzowała — to znaczy Katię i innych ludzi...

— Więc byli inni po nas?! — krzyknęłam, nie mogąc powstrzymać radości. — Nie zaprzestali lotów, a to oznacza, że innym się w końcu udało!

— Tak, innym się udało — mówiła posępnym głosem, wcale nie podzielając mojego entuzjazmu. — W końcu zdobyli kosmos, wysłali sondy do innych planet, a nawet wylądowali na księżycu...

— Ależ to niesamowite osiągnięcie! — znowu jej przerwałam, nie rozumiejąc jej pesymizmu — dlaczego to cię nie cieszy?! — nagle zamilkłam, domyślając się, że to nie naszym się udało, ale drugiej stronie.

— Przegraliśmy? Zostaliśmy wyprzedzeni? — spytałam, ale już znałam odpowiedź, więc dodałam z rezygnacją. — Więc wszystko na próżno? Moja... nasza... śmierć Katii była daremna?

— Nie to jest w tym ważne — odparła zirytowana. — Nie ma znaczenia, kto wygrał, kto był pierwszy.

— Jak to nie ma znaczenia?! — wypaliłam oburzona. — Przecież to było najważniejsza rzecz dla ludzkości, dla naszego narodu, pokazalibyśmy swoją wyższość technologiczna, wyprzedzilibyśmy wszystkich i nikt już by tego nam nie zabrał — perorowałam, a ona patrzyła na mnie z rezygnacją, jakby chciała znowu powiedzieć — „To nieważne". Zamilkłam zezłoszczona, nie potrafiłam zrozumieć jej obojętności, biernej postawy wobec tak ważnego wydarzenia, jakim było zdobycie kosmosu.

— To teraz nie ma znaczenia — odrzekła spokojnie, po chwili milczenia.

— A śmierć Katii? — powiedziałam z wyrzutem. — Jej śmierć, nic dla ciebie nie znaczy?

— Dla mnie tak — odparła — kocham ją za to, co zrobiła, za jej odwagę, ale do ludzkości mam żal.

— Bo jej nie uratowali? Nie ściągnęli z orbity, aby ją pochować w rosyjskiej ziemi i z honorami? Czy o to ci chodzi?

Westchnęła głęboko i rozplotła nogi, by usiąść, podkurczając kolana pod brodę. W świetle płomieni wydała mi się o wiele młodsza, młodsza nawet ode mnie. Twarz jej zmarkotniała, stała się zamyślona. W końcu znowu westchnęła i się odezwała:

— Miałam sporo czasu, aby to przemyśleć i zrozumieć. Nie mam żalu o pozostawienie kapsuły w pustym kosmosie, nawet jestem im za to wdzięczna, gdyż w innym razie, nie rozmawiałybyśmy tu teraz. Nie miałybyśmy szansy na drugą ziemię, ale winię ich za to, że nie poszli dalej. Mieli czas, sporo czasu na kolejne ekspedycje, zdobyli księżyc, byli tam ludzie, widziałam ślady ich stup, dotykałam porzucone tam instrumenty, widziałam, że mieli plan, coś chcieli osiągnąć, iść dalej. Na marsie to samo i na innych planetach, wszędzie pozostawili ślady świadczące o tym, że przygotowywali się do czegoś wielkiego i...

— Nie udało im się — dokończyłam za nią, domyślając się, co ją boli.

— Wiesz? — powiedziała lekko ożywiona. — Ja nie potrafię im tego wybaczyć. To głupie, wiem, ale nie potrafię im wybaczyć zmarnowania szansy, jaką mieli. Uważam to za zdradę. Wielką zdradę na skale całej ludzkości. Ci, którzy mieli władzę, nasi przywódczy, ludzie, którzy mieli nas prowadzić do zwycięstwa, oszukali ludzkość!

— Może próbowali? — zastanawiałam się na głos. — Może zabrakło im czasu albo coś innego stanęło im na drodze?

— Nie, moja droga. Czasu mieli aż nadto, mieli go dosyć i mogli skolonizować inne planety — jej głos stał się oskarżycielski. — Tylko

coś innego było dla przywódców ważniejsze i nie mam na myśli, tylko naszych, ale każde państwo, które miało potencjał, aby wysłać ludzi na inne planety.

— Nie oceniaj ich tak pochopnie. Mogli mieć przeszkody, które nie dawały im szansy na wyższe cele w kosmosie. Wiesz doskonale ile wysiłku i pracy kosztowało nasz kraj, aby wysłać jednego człowieka, a ty chciałabyś wysłać tam całe miasta. To mogło być niemożliwe, być może mieli plan osiedlenia się na Marsie, mówiłaś, że widziałaś tam ziemskie pojazdy, ale okazało się, że nie ma tam powietrza, albo jest trujące. Może żaden księżyc Jowisza czy Saturna nie nadawał się do kolonizacji. Może nasz układ słoneczny był pułapką, z której nie mogliśmy uciec.

— Nie zaprzeczałabym, gdybym nie sprawdziła tych miejsc. Sondy, które wysłali na Marsa, księżyce Jowisza i Saturna dały im wystarczającą wiedzę i nadzieję na wysłanie tam człowieka — powiedziała, uspokoiwszy swe emocje.

— Więc dlaczego tego nie zrobili?

— Myślę, że ważniejsze były kolejne wojny, rewolucje, walki o władze, o dominacje, o religie lub cokolwiek innego, a nauka i poznawanie innych światów, stało się czymś zbędnym i nieistotnym. Może chęć dobrobytu zdominowała ludzkie umysły i cały swój wysiłek skupili na zapewnieniu sobie raju na ziemi? Tak naprawdę to nie wiem, co się stało, ale gdy nadleciała ogromna planetoida, żadne państwo nie było gotowe na uratowanie, choć maleńkiej cząstki ludzkości.

Zastanowiłam się nad jej słowami, próbowałam wyobrazić sobie cały okres istnienia ziemi po pierwszym locie człowieka w kosmos. Pośpiech wówczas był wskazany i każdej stronie zależało, aby być pierwszymi. Orbita, księżyc, a potem inne planety układu słonecznego były kolejnymi etapami w tym wyścigu i przez chwilę wydawało mi się, że te cele same w sobie powinny wymusić na ludziach chęć ich zdobycia. Nie byłoby ważne, jakimi intencjami by się kierowali, mogło to być cokolwiek: eksploatacja, wojskowość, nauka, wszystkie te drogi prowadzą w ostateczności do kolonizacji.

Nie chciałam uwierzyć, że zatrzymali się w pół drogi, że na którymś etapie podboju kosmosu powiedzieli sobie: dość, mamy to, czego chcieliśmy i nie musimy dalej pracować nad tym projektem. To wydawało mi się absurdalnym posunięciem, ale wszystko wskazuje na to, że tak właśnie postąpili.

— Powinnyśmy się położyć, moja droga — powiedziała, przerywając milczenie. — Jesteś jeszcze słaba, twój organizm nie przywykł do tak długich okresów aktywności, potrzebny ci sen.

Ziewnęłam i nagle poczułam, jak zmęczenie opanowuje moje ciało. Stało się to niespodziewanie i bez ostrzeżenia, jakby ktoś przełączył we mnie niewidzialny przełącznik. Byłam zbyt podekscytowana pierwszym dniem na nowej ziemi, za dużo działo się wokół mnie i nie zwracałam uwagę na własne siły. Podrzuciłam do ognia kilka grubszych drew, a potem weszłyśmy do szałasu i okryłyśmy nasze nagie ciała wielkimi suchymi liśćmi.

— Dobranoc, moja droga — powiedziała, uśmiechając się do mnie. — Niech ci się przyśni coś miłego.

— Dobranoc, siostrzyczko i dziękuję — odrzekłam, odwzajemniając jej uśmiech, a potem z ulgą zamknęłam ciężkie powieki i natychmiast zapadłam w sen.

V

Ubrana jak za dawnych lat, w koszule z lnu przewiązaną w pasie, stałam w tym śnie na brzegu wielkiego jeziora i wpatrywałam się w odległy drugi brzeg. Widziałam domy, drzewa i ludzi krzątających się tam. Mała łódź z jednym człowiekiem odbiła od drewnianego mola i skierowała się w moją stronę. Chłodny wiatr od lądu owiewał moją postać, szarpał wstążką wplecioną w gruby warkocz, próbował zdmuchnąć z mej głowy kwiecisty wianek. Łódź zbliżała się szybko, pokonując dzielącą nas wodę ze zdumiewającą prędkością, jakby była pchana nie tylko uderzeniami wioseł, ale wspomagał ją niezwykle śliny prąd wodny. Mężczyzna siedział tyłem do mnie i mocno pracował ramionami, a ja nagle dostrzegłam w nim znajomego i serce zabiło mi mocniej. Podbiegłam bliżej, nie bacząc na to, że stopami weszłam w wodę i zmoczyłam dół koszuli, tak bardzo ucieszyłam się, widząc jasne włosy targane wiatrem, a potem, gdy dobił do brzegu i wyskoczywszy z łodzi, gdy spojrzał na mnie, ogarnęła mnie niemoc, ta sama, która obezwładniała mnie za dawnych młodych lat, gdy wraz z braćmi i ojcem przybywał do naszego chutoru.

— Jura — powiedziałam, przełamując słabość.

Podchodząc do mnie, uśmiechał się cudownie, jak nigdy wcześniej było w nim więcej odwagi i wydał mi się już nie chłopcem, lecz mężczyzną. Pochwycił moją dłoń i bez słów wyprowadził na suchy piasek, po czym zwrócił się do mnie twarzą i przemówił:

— Pewnie wydaje ci się, że to sen, ale tak nie jest.

— Nie — zaprzeczyłam, kręcąc z niedowierzaniem głową. — To musi być sen, a ja nie jestem na ziemi i ty nie jesteś Jurą.

— Nie jestem Jurą, mówisz prawdę, i nie jesteśmy na ziemi.

— Więc, gdzie?

Rozejrzałam się wokół. Za mną było bezkresne pole zielonej trawy, jezioro ciągnęło się w każdym kierunku jak okiem sięgnąć, a nade mną wisiało mleczne niebo bez chmur i słońca.

— Jesteśmy w świecie mojej siostry? — spytałam, choć domyślałam się odpowiedzi, więc bez zwłoki zwróciłam się do niego:

— A ty? Kim jesteś?

— Twoja siostra nazywa mnie, swoim przyjacielem.

— Jesteś, jedną z Istot?

— Tak — odrzekł szybko, nie przestając uśmiechać się, a jego usta, które tak bardzo intrygowały mnie za młodu, teraz wprawiały mnie w konsternacje.

— Jak to możliwe? Możesz udawać, kogokolwiek?

— Wyczuwam w tobie podejrzliwość i bojaźń.

— Nie lękam się ciebie, ale tego, co możesz robić. Niepokoi mnie to.

— Uważasz, że jestem zdolny do oszustw. Widzę to i chcę cię zapewnić, że tak nie jest. Przybieram tę postać, bo twoja siostra często mnie o to sama prosiła. Tak było jej łatwiej się ze mną porozumiewać i sądziłem, że tobie też będzie lżej.

— Moja siostra tego chciała?

— Poprosiła mnie, abym wydobył z jej pamięci obraz człowieka z jej młodości. Zrobiłem to na jej życzenie, ale mogę to zmienić, jeśli tobie to przeszkadza.

— Nie, tak jest dobrze — zaprzeczyłam szybko, a potem zawstydziłam się i skarciłam w duchu, że tak łatwo daje sobą manipulować. Wystarczyło dać mi skrawek wspomnienia, nawet nie prawdziwy, tylko jego obraz, a już stawałam się ufna jak dziecko.

Zmiękłam — pomyślałam — utraciłam wojskowe maniery i stałam się zwykłą babą.

Odwróciłam od niego wzrok i wpatrując się w szare wody jeziora, zadumałam się nad swą siostrą. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego zdecydowała się pozostać w świecie, który nie istnieje? Dlaczego wolała pozostać z kimś, kto tylko udawał kogoś, nie był człowiekiem, nawet zwierzęciem, był kimś całkiem odmiennym i prawie nierzeczywistym? Byłyśmy kiedyś jedną osobą o jednej myśli, doskonale wiedziałyśmy, czego chcemy od życia, jakie cele nam przyświecają, patrzyłyśmy na świat tymi samymi oczami, tak samo go odczuwałyśmy, miałyśmy te same wspomnienia, te same pragnienia, ten sam lęk dręczył nas, te same sny nawiedzały w nocy, a teraz... Nie rozumiałam jej wyborów, inaczej wspominałyśmy, odmiennie

rozumiałyśmy to, co nas spotkało, nie miałyśmy już wspólnego celu, inne pragnienia kierowały nas w przyszłość. Śmierć Katii nas zmieniła. Miałyśmy jej wspomnienia, ale już nie byłyśmy nią. Zastanawiałam się: ile było we mnie z tamtej Katii i czy postępowałam zgodnie z jej myślami. A może nią już wcale nie byłam? Może to moja siostra była lej bliższa?

Westchnęłam głośno i spuściłam wzrok, rezygnując z zadawania sobie dalszych pytań, na które nie umiałam odpowiedzieć.

— Wciąż się wahasz? — spytał, przerywając nasze milczenie.

— Czytasz mi w myślach? — powiedziałam oschle, nie spojrzawszy na niego.

— W moim świecie porozumiewamy się myślami, ale nie potrafię czytać twoich myśli.

Spojrzałam na niego podejrzliwie i spytałam:

— Więc jak to możliwe, że moja siostra was słyszy?

— Nauczyliśmy ją tego — odrzekł swobodnym głosem, a widząc, że dalej mam wątpliwości, dodał — nauczyliśmy ją porozumiewać się z nami, zanim się na dobre przebudziła.

— To nie uspokaja mnie — rzekłam twardo. — Wręcz jeszcze bardziej wam nie ufam.

— Przykro mi z tego powodu.

Puścił moją dłoń, zapewne wyczuwając niezręczność narastającą między nami, i dodał:

— Możemy cię jakoś przekonać, dać dowód czystych intencji?

— Próbowaliście z moją siostrą i jakoś się wam udało, ale ja tego nie chcę.

— Więc ci nie powiedziała? — spytał, nie ukrywając zaskoczenia.

Nie spojrzałam na niego, chcąc ukryć uczucie zawodu. Więc miała przede mną tajemnice, ale nie przed obcymi? To zabolało, poczułam się oszukana.

— Nigdy nie zaufała nam w pełni — powiedział lekko.

— Więc dlaczego się zgodziła?

— Z tego samego powodu, z jakiego ty zgodzisz się pozostać na planecie.

— Więc już wszystko macie zaplanowane? Znacie przyszłość?

— Nie — zaprzeczył gwałtownie, unosząc się głosem. Potem uspokoił się i dodał:

— Nikt nie zna przyszłości, nie spotkaliśmy nikogo, kto miałby taką zdolność. Nie wiemy wszystkiego, a wy, ludzie, jesteście dla nas wciąż zagadką. Wymykacie się naszym przewidywaniom, bo często podejmujecie decyzje niezgodne z naszą logiką. Twoja siostra swym początkowym zachowaniem wprowadziła nas w zdumienie i konsternacje. Nie rozumieliśmy jej braku zaufania, było to dla nas niezrozumiałe i nie wiedzieliśmy, jak ją do nas przekonać. Pozwoliliśmy jej korzystać z naszej technologii, aby sama się przekonała, ale ku naszemu zaskoczeniu, nic z tego, co zobaczyła, nie przekonało ją do nas.

— Powiedziała mi, że chce zostać z wami.

— Tak, to prawda. Czy nie wyjaśniła ci, dlaczego tak zdecydowała?

— Myślę, że wiem — powiedziałam ostrożnie. — Ja też wam nie ufam. Obrazy, jakie pokazujecie mi od samego początku, są tylko iluzją; nie istnieje to jezioro ani ludzie mieszkający po jego drugiej stronie. Tak naprawdę, to nie wiem, gdzie jestem, czy w ogóle stoję na czymkolwiek, czy oddycham prawdziwym powietrzem i wreszcie, czy ja sama jestem cielesna. Nie przekonacie mnie, pokazując gruzy ziemi, bo to też mogą być tylko fałszywe obrazy i nie przekonacie mnie, pokazując cokolwiek, bo już udowodniliście, że potraficie manipulować materią.

— Twoja siostra zwróciła nam na to uwagę, ale jak już powiedziałem wcześniej, nie braliśmy pod uwagę braku zaufania.

— Więc zdecydowała się zostać z wami, by mieć was na oku?

— Tak. Jej decyzja bazuje na braku zaufania do nas.

— I nie przeszkadza to wam? — spytałam zaskoczona, spojrzawszy na niego.

— Jak już mówiłem, nie w pełni rozumiemy uczucia ludzi, ale jesteśmy ich bardzo ciekawi. Nie przeszkadzają nam, choć wiem, że w waszym świecie brak zaufania może oznaczać wrogość. My

tak tego nie odczytujemy.

— Czyli nie macie wrogów.

— Nie. Nie spotkaliśmy rasy, która by nam mogła zagrozić?

— Czyli jesteście najpotężniejsi we wszechświecie?

— Nie sadzę, raczej jeszcze nie spotkaliśmy takiej — odparł swobodnie.

— A gdy tak się stanie? — spytałam, wpatrując się w jego dziecinne oczy. — Gdy spotkacie wyższych od siebie, potężniejszych, znających technologie, której nie będziecie w stanie zrozumieć? Czy nie pomyślicie, że mogą chcieć was zwieść?

Spuścił wzrok i zamyślił się, westchnąwszy przeciągle.

— To możliwe — odrzekł bez emocji.

— Więc wówczas, wasz brak zaufania może się okazać zgubny — dodałam sentencjonalnie.

— Tak — odpowiedział lekko, a ja zastanawiałam się, czy zrozumiał moje słowa. Wydawał się obojętny, wobec mych argumentów, jakby w nie nie wierzył i odpowiadał tylko z uprzejmości, lub rozumiał je w pełni, lecz nie uważał wyjaśniać mi, dlaczego nie obawia się potężniejszych od siebie. Może chciał w ten sposób ukryć własną chełpliwość? Może skrycie uważali się za najpotężniejszą cywilizację we wszechświecie?

— Ty nam nie ufasz — mówił swobodnym tonem, a jego twarz wciąż się uśmiechała — dlatego pozostaniesz na planecie i rozwiniesz na niej cywilizacje ludzi. Będziesz dążyć do poznania prawdy, zbudujesz teleskopy, a potem statki i wyruszysz w kierunku ziemi; a twoja siostra zostanie z nami, by nas przypilnować. Byśmy nie mogli ingerować w twoje poczynania.

— Więc wiecie? — spytałam, zdumiona prawdziwością jego słów i jednocześnie brakiem jakichkolwiek złych emocji na jego twarzy.

— Tak.

— Mówisz to tak spokojnie.

— To nie ma dla nas znaczenia, ważne jest, aby uratować was od całkowitej zagłady.

— Więc to jest wasz prawdziwy cel? Uratować ludzi? Czemu,

to dla was takie istotne?

— Wierzymy, że inteligencja jest we wszechświecie darem spoza jego granic i trzeba go chronić.

— Darem spoza granic? Czy nie wiecie, że inteligencja jest naturalną konsekwencją ewolucji? — wypowiedziałam pytanie z nutką kąśliwości, bo mnie rozbawił swoją naiwnością. Nagle przestałam widzieć w nim wyższą rasę, a przedstawił mi się jako nawiedzony klecha. Spotykałam takich na Ziemi i słyszałam ich obłąkańczy bełkot o stworzeniu Ziemi, zwierząt, ludzi. Nigdy nie brałam ich słów na poważnie, nawet nie próbowałam rozważać takiej możliwości, zawsze twierdziłam, że to wymysł bojaźliwych ludzi, gdy nagle coś sobie uświadomiłam: stałam przed przedstawicielem cywilizacji, która potrafiła zbudować świat od podstaw, zasiać na nim rośliny, drzewa i owoce. Zasiedlić go owadami, ptakami i innymi zwierzętami wodnymi i lądowymi, no i na końcu umieścili tam mnie, człowieka. Zlękłam się swoich myśli, bo za bardzo przypominały to, w co wierzył mój ojciec i matka, a także miliony ludzi, których uważałam za błądzących. Zlękłam się, bo nagle zrozumiałam, że mój początek na nowej ziemi, mógł być niejedyny i wcale nie przypadkowy. Spojrzałam mu w oczy i spróbowałam odgadnąć: kim są Istoty władające technologią, która na ziemi była przypisana Bogom? Zerkał na mnie oczami młodego chłopca, którego kiedyś darzyłam uczuciem, uśmiechał się przyjaźnie, trochę nieśmiało, robiły mu się małe dołeczki na policzkach i musiałam mocno starać się, by nie dać się oszukać własnym uczuciom. Moja siostra zrobiła naprawdę dobrą robotę, ale sprawiła też, że patrząc w oczy chłopca, którego kiedyś kochałam, nie umiałam jasno myśleć.

Nie odpowiedział na mój zarzut, domyślając się zapewne, że próba wyjaśnienia mi czegoś, czego sami nie są pewni, nie ma sensu.

— Masz jakieś inne pytania? — spytał, zmieniając ton głosu na stanowczy, jakby znudził się moim towarzystwem i dążył do zakończenia spotkania.

Nie musiałam się zastanawiać nad pytaniem, które dręczyło mnie od jakiegoś czasu i zadałam je z lekkością, ale też stanowczością:

— Chcę wiedzieć, kto będzie ojcem mego dziecka?

— Nikt — odparł i wydawało mi się, że moje pytanie wprowadziło go w zakłopotanie.

— Jak to nikt?! — wypaliłam zaskoczona. — Każde dziecko musi mieć rodziców, ojca i matkę. Chyba zdążyliście to odkryć?!

— Ale nie w twoim przypadku — mówił, unikając mojego wzroku, jakby zawstydził się poruszonego tematu. — Nazywaliście to partenogenezą — dodał, patrząc poza mną — a przynajmniej taką nazwę zapamiętała Katia.

— Ja sobie tego nie przypominam — stwierdziłam, szukając w pamięci przytoczonej definicji.

— To nie jest naturalne dla tak złożonego organizmu, jak twój, ale nie było trudne osiągnąć.

— I tak już będzie z każdym człowiekiem? Moje dzieci nie będą potrzebowały partnerów?

— Nie. To dotyczy tylko ciebie i twoich córek. Ta zdolność, jak już mówiłem, nie jest naturalna i szubko zaniknie.

— To chyba dobrze — powiedziałam, zamyśliwszy się nad konsekwencjami, jakie wynikłyby, gdyby nie dano mi i moim potomkom takiej możliwości.

— Nasze spotkanie uważam za zakończone — powiedział, odzyskawszy spokój na twarzy.

— Tak? — spytałam naiwnie.

— Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Powinnaś wrócić na planetę.

Przybrał minę dorosłego i obrażonego. Pomyślałam, że mimo jego zapewnień, że nie obrażają się na nasz brak zaufania, to jednak są czuli na tym punkcie. A potem, gdy bez ostrzeżenia znikł wraz z otaczającym nas obrazem, przyszło mi do głowy, że być może źle go oceniłam, nie biorąc pod uwagę, że on tylko próbował upodobnić się do człowieka.

Słońce stało wysoko na niebie, mocno grzejąc moją skórę. Stałam

na plaży, w tym samym miejscu, w którym pojawiłam się pierwszy raz. W oddali, blisko ściany lasu, zobaczyłam małą drewnianą budowlę, większą i bardziej rozbudowaną od szałasu, który zbudowałam. Nieopodal stała moja siostra, ubrana w brązową odzież i kiwała do mnie zapraszająco. Podeszłam, przyglądając się rozbudowanej budowli, która przypominała mały domek z wysp tropikalnych. Nie była to solidna budowla, ale miała gruby dach z liści, ściany z cienkich drewnianych tyk ułożonych jedna na drugiej, małe okienka z zasłonami z nieznanego mi materiału i całkiem solidne drzwi. Siostra uśmiechała się, spoglądała na mnie z oczekiwaniem i pełna dumy.

— Jak tego dokonałaś?! — spytałam, obchodząc domek, przyglądając się mu z zainteresowaniem. — W jaki sposób zrobiłaś to...

— W jedną noc? — weszła mi w zdanie, wyraźnie rozbawiona.

Spojrzałam na nią, rozłożywszy bezradnie dłonie.

— Nie było cię, moja droga, przez kilka dni. — Podeszła do mnie i objęła w ramionach.

— Ale jak? Przecież... To było tylko kilkanaście minut. Nie było mnie tylko chwilę?

— Wiem, kochana. Tam czas biegnie inaczej, znacznie szybciej niż sen. Chwila w ich świecie to, dla tej planety i dla nas, kilkanaście dni. Wiem, zaskoczyłam cię i bardzo się z tego cieszę, a teraz proszę, wejdź do środka, i zobacz, co dla ciebie przygotowałam.

W środku było bardzo przytulnie, na ścianach wisiało kilka oprawionych skór zwierząt, podłoga zrobiona z żerdzi zielonych drew, ozdobiona była w centralnej części matą, uplecioną z wysuszonych źdźbeł wysokich traw; pod przeciwległą ścianą z oknem wychodzącym na ocean ustawione było niskie łóżko, na którym ułożone było duże, mlecznego koloru futro, a na nim brązowy, dwuczęściowy strój, podobny do tego, jaki nosiła moja siostra. Zaniemówiłam i przez krótką chwilę nie umiałam wydobyć z siebie słowa. Rzuciłam się na nią, obejmując mocno za szyję i czując, jak łzy cisną mi się do oczu, w końcu wydusiłam z siebie kilka

słów wdzięczności.

— Dziękuję ci z całego serca — szeptałam — jesteś kochana, że to wszystko dla mnie zrobiłaś. Naprawdę jestem ci wdzięczna i nie zapomnę nigdy twojej dobroci.

Objęła mnie mocno, ale nie odezwała się, nie powiedziała nic, tylko zadrżała, a mi wydało się, że popłynęły jej łzy.

Wiedziałam, że już niedługo będziemy musiały się pożegnać na długi czas, być może już na zawsze, że za parę dni zostanę sama, zdana tylko na siebie i swój instynkt i jak pierwsi ludzie na dawnej ziemi, będę musiała poradzić sobie z wszystkimi przeciwnościami losu. To było trudne, ale wychowałam się w ciężkich czasach, nauczono mnie jak przetrwać w trudnych warunkach i z dala od ludzi. Nie obawiałam się podjąć tego zadania. Jednak nikt nie nauczył mnie, jak być matką, jak poprowadzić wychowanie tych, którzy mają zaludnić ziemie i odtworzyć cywilizację. Bałam się tego zadania, gdyż było inne od tych, jakie życie postawiło przede mną dotychczas. Byłam świadoma odpowiedzialności i lękałam się zawieść tych, którzy mieli przyjść na świat, ale to wszystko minęło, gdy w pewną księżycową noc, urodziłam pierwsze dziecko. Nagle stałam się matką, która doskonale wie, co robić, jak opiekować się małym człowiekiem i jakie wartości przekazać mu, gdy będzie już dorastającym. Zanim mój czas dobiegł końca, urodziłam setkę kobiet i mężczyzn, a one kolejne setki i trwało to przez kilka pokoleń, aż nagle nowa ziemia zaludniła się, i już nikt nie pamiętał, kto czyim był bratem i siostrą. Zanim odeszłam, moje dzieci rozeszły się, szukając nowych terenów i tam budowali swoje domostwa, tworzyli wspólnoty, budowali osady, uprawiali ziemi i doskonalili rzemiosła. Zanim opuściłam ich na dobre, już nie byli jedną rodziną z jednej matki, ale wieloma rodami, a wspomnienie po mnie z wolna zacierało się, stając się legendą. Legendą stała się też opowiedziana przeze mnie historia Katii, pierwszego człowieka, który wyruszył ku gwiazdom i tam zginała, by dać początek życiu na nowej ziemi. Legendą stały się Istoty spoza naszego wymiaru i moja siostra, która postanowiła podróżować poprzez pustki wszechświata. Wiedziałam

też, że i ja stanę się mitem, który będą sobie opowiadać, może nawet zapiszą w księgach, ale nikt nie weźmie ich na poważnie. Odeszłam w pewną zimową noc, samotna i w zapomnieniu, wpatrując się w żółty księżyc, ale uśmiechnięta i szczęśliwa, bo wiedziałam, że tam w górze, w czarnej pustce kosmosu, jest ktoś podobny do mnie, lecz nieśmiertelny i być może kiedyś powróci i spojrzy na nową ziemię, którą razem zbudowałyśmy.

Koniec.